

Krawczyńska, Jadwiga

Wspomnienia z prasy podziemnej 1939-1944

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 1, 324-365

1962

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

WSPOMNIENIA Z PRASY PODZIEMNEJ 1939—1944

SŁOWO WSTĘPNE

W dwadzieścia lat po wydarzeniach nie byłoby łatwo odtworzyć fakty, daty, nazwiska, gdyby nie to, że spisałam je znacznie wcześniej i starałam się sprawdzać niektóre dane. Dlatego mogę zapewnić, iż to, co podaję w niniejszym szkicu wspomnieniowym, będzie wierne i zgodne z rzeczywistym przebiegiem rzeczy. To dotyczy materiału faktycznego. Natomiast mój własny stosunek do wydarzeń i ludzi musi być przyjęty jako wyraz przeżyć związanych nie tylko z chwilową ówczesną sytuacją polityczną, lecz z całą moją nagromadzoną w ciągu życia świadomością ludzką, z moim doświadczeniem i postawą moralną, i społeczną, urobioną przez wiele lat pracy i działalności.

Myszę, że tak ujęte wspomnienia z prasy podziemnej, w której brałam czynny udział w latach 1939—1944, mogą posłużyć jako materiał dla historyka. Jest to mały przyczynek do dziejów i socjologii okresu, kiedy życie zbiorowe naszego narodu nie podlegało żadnym uznanym przez społeczeństwo prawom — będąc poddane jawnemu bezprawiu — a jednak społeczeństwo to zdołało wytworzyć własny autorytet, który nazwałabym autorytetem zbiorowego sumienia. Czymś, co niełatwo jest określić, lecz co było bardzo mocnym czynnikiem rozwoju ludzi i zdarzeń w okupowanym kraju, było etycznym uzasadnieniem oporu, jak najbardziej zdecydowanego oporu przeciw przemocy, terrorowi i gwałtowi. Postawa, którą należałoby określić jako antyfaszystowską, mimo że termin ten nie był szerzej przyjęty przez masy społeczeństwa. Z tej postawy rodziły się wola walki i ruch oporu. Najszersze prawo obywatelstwa u nas uzyskało słowo „organizacja“. Tak się mówiło podczas okupacji bez względu na to, o jaką organizację chodziło. Było ich przecież niemało. Jednak dla poszczególnego obywatela, który najczęściej zaciągał się do grupy najbliższej mu społecznie, najbliższej mu

ze względu na środowisko i stosunki koleżeńskie, najważniejszy walor miała przynależność do „organizacji“.

Wiadomo, iż organizacji typu wojskowego było sporo w różnych rejonach kraju, że powstawały one nieraz w grupach samorzutnie tworzonych przez ludność lub też z inspiracji działaczy politycznych różnych ugrupowań. Wiadomo, że już zaraz po klęsce wrześniowej 1939 r. powstawały oddziały partyzanckie, wiążące się z kolei z ośrodkami politycznymi — wszystko naturalnie w układzie konspiracyjnym, podziemnym.

Jednym z najbardziej interesujących studiów o okresie okupacji była dla mnie praca Kazimierza Wyki *Życie na niby* (Warszawa 1957). Autor znalazł wcale trafne określenie dla systemu gospodarki, jaka została narzucona ziemiom tzw. Generalnego Gubernatorstwa. Owo życie na niby, jakby nierealne, bo toczące się w formach autorytatywnie sfabrykowanych dla tego obszaru Polski przez wrogów, nie rozumiejących z charakteru polskości. Istotnie, jak wykazuje Wyka i jak dobrze pamiętamy — system hitlerowskiej gospodarki wydał najzupełniej nieoczekiwane owoce. Wywołał zacieklą walkę gospodarczą przeciw okupantowi, wyzwalając wiele samorodnych inicjatyw na tak szerokim froncie społecznym, że żadna kontrola, żadne siły administracyjne, wojskowe, gestapowskie z ich groźnymi psami, ani formacje policyjne okupanta (tzw. bansuce — Bahnschutz — na kolejach), nie potrafiły zwalczyć „szmuglu“ i pozbawić kraju zasobów i produktów. Umożliwiło to jakie takie przetrwanie nędzą zżeranych mas. *Życie na niby* — w systemie jaskrawo sprzecznym z rzeczywistością — uzmysławia stosunki administracyjno-gospodarcze w GG.

Ale nie sposób zastosować owego sugestywnego określenia do innych dziedzin życia i działalności społeczeństwa. W akcji podziemnej, w ruchu oporu przeciw okupantowi wszystko było realne i rzeczywiste. Wprawdzie niektóre zdarzenia były fantastyczne, przychodziły jakby z krainy niespodzianek i przygody, ale życie podziemia było jak najbardziej wyteżone, surowo zdyscyplinowane i zorganizowane, poddane jasno sprecyzowanym celom i opracowanym szczegółowo działaniom. Było to życie ryzyka i ofiarności indywidualnej, i zbiorowej zarazem, toczące się wśród ustawicznych niebezpieczeństw i możliwości zaskoczeń. Ten drugi nurt życia okupacyjnego w Polsce, wartko płynący pod powierzchnią „życia na niby“, był pełnym kontrastem z jawnym, ponurym, niewolniczym trybem. Tu panowało prawdziwe życie, tu rozwijały się wielostronnie energie ludzkie, kulturalne, zawodowe, społeczne, tworzyły się zastępcze formy normalnego bytowania w społeczeństwie. Wiadomo z innych źródeł, jak szeroko rozbudowano szkolnictwo polskie na wszystkich jego stopniach, od abecadła do nadawania

stopni uniwersyteckich, jak intensywnie pracowali twórcy nad poezją, muzyką i innymi sztukami. W ten tok działalności podziemnej weszła od razu, niemal nazajutrz po wrześniu 1939, gazeta konspiracyjna, prasa podziemna — w warszawskim nawyku do zdrobnień nazywana po prostu „gazetką“... Ale o tym dalej.

Okoliczności bytu w Polsce pod okupacją hitlerowską i w jej okrutnym systemie zmusiły wkrótce ogół do najwyższego wysiłku na każdym polu. Od najpospolitszych jednostkowych zabiegów o utrzymanie istnienia, od zdobywania żywności i odzienia — do powszechnych trosk społecznych i działań politycznych. Taką najwyższą skalę przeżyć narzucał — znowu wbrew przewidywaniom i taktyce okupanta — świadomie podjęty obowiązek walki przeciw wrogowi, który zamierzył wyniszczyć ludność. Jakby nagły przewrót w myślach i pojęciach mas, niezależnie od stopnia ich świadomości i umiejętności wyjaśniania sobie sytuacji, sprawił, że nowego typu solidarność poczęła łączyć obce sobie środowiska, do niedawna nie znanych sobie ludzi. Zrodziło się rychło niepisane prawo i obowiązek pomocy, wszelkiego rodzaju pomocy bliskim i dalekim współobywatelom, wobec nieustannego zagrożenia wszystkich przez wyrafinowane a brutalne siły okupacyjne. Zrodziło się zrozumienie interesu własnego w ofiarności społecznej i w solidarności sąsiedzkiej. Wobec wspólnego wroga zanikały dotychczasowe niechęci i pretensje.

Dodajmy, że nie zawsze i nie wszędzie; że w wielu wypadkach zawisła, pasja, wyrachowanie jednostek stawały się przyczyną tragedii ludzkich. Były fakty sprzedawania bliźnich, służalczego, tchórzliwego pochlebiania okupantom dla własnych korzyści. Ale powszechną regułą była postawa solidarności wobec współobywateli, a zdecydowany opór i walka w stosunku do okupanta. Kto nie rozumiał konieczności takiej, a nie innej postawy, choćby ze względu na własne szanse istnienia, kto nie podporządkował się służbie w zorganizowanych szeregach lub nie ofiarował swych sił, zdolności, mienia na rzecz tych szeregów, ten pozostawszy poza społecznością walczących miał do wyboru albo niechlubną zgubę — często z przypadku — albo upodlenie w służbie dla okupanta, który tylko na pewien czas mógł zapewnić wygodniejsze „utrzymanie się na powierzchni“ i okruchy zysków z pańskiego stołu.

Oczywiście, zdecydowanie się na walkę, na towarzyszącą jej z reguły nędzę materialną pociągało za sobą dalsze konsekwencje, rozmaicie zresztą przedstawiające się w praktyce. Bez względu na nadużycia moralne i materialne, jakie mogły się zdarzyć, bez względu na ciężkie ofiary w partyzantce wojskowej, bez względu na ponure pozostałości i tragiczne skutki — zwłaszcza wśród młodzieży — tego wszystkiego, co brutalne i okrutne w treści, trzeba stwierdzić, że organizacje pod-

ziemne w znaczeniu wiązania sił oporu przeciw okupacji były wyrazem najlepszych i najszlachetniejszych dążeń narodu w jego różnych, a nawet skłóconych ze sobą warstwach. Konspiracja, nie tylko w Polsce i nie tylko w naszej epoce, niesie w sobie obok szlachetnych i celowych działań także objawy godne potępienia.

My, w okresie okupacji, nie mieliśmy innej perspektywy jak bezwzględne przeciwstawienie się zamierzonemu wyniszczeniu ludności, zamieszkującej te ziemie, jak opór wszelkimi sposobami w dobrze uświadomionym przekonaniu, popartym trzeźwymi obliczeniami szans politycznych, wojskowych, ekonomicznych, że sprawa wyzwolenia z przemocy faszystowskiej zwycięży i musi zwyciężyć. Niektórzy skłonni są to przekonanie utożsamiać z jakąś „wiarą“, której nadają religijne, mistyczne, często zabobonne oblicze (choćby słynne w czasie okupacji krążenie „przepowiedni“, rozpowszechnienie się wróżbitów itp.). Sądzę jednak, że większość ludzi walczących kierowała się w swych postępkach jak najbardziej trzeźwymi obliczeniami, opartymi na sumie własnych doświadczeń i prostego rozumowania, na zwykłej mądrości ludowej, która przechowuje pamięć dawnych zdarzeń, straszliwych najazdów i klęsk powszechnych, odwracalnych jednakże dzięki zespolonym siłom całego ludu. Przeświadczenie, iż dla tego celu, dla końcowego zwycięstwa, opłaci się ponieść wszelkie ofiary, aż do oddania życia włącznie (które i tak wisi na włosku, narażone na ciągłe represje wroga) — przepełniało umysły w najszerszych masach. Może były to pojęcia prostackie, nieskomplikowane, mało wykształcone politycznie, pozbawione metody realistycznego przetargu — gotowa jestem jednak twierdzić, iż tego rodzaju myślenie było w owym czasie najbardziej rozpowszechnione.

W grupach tych, które przeciwstawiły się okupantowi, rosła świadomość niezwykłości i powagi chwili, w jakiej przypadło im działać. Najwyższa skala przeżyć, najpełniejszy wysiłek, jedyne w swoim rodzaju napięcie charakterów cechowały wielu przywódców i liczne rzesze młodzieży w organizacjach podziemnych. Chcę podkreślić, iż działo się tak niezależnie od nazwy i od ideologii grup, nieraz krańcowo różnych. Ludzie, którzy uczestniczyli w ówczesnej walce, zachowali żywą pamięć o tym jedynym i wspinałym — mimo wszelkie niedole — okresie dziejów. Widzą w nim jakby wzmocnienie wartości własnego życia, które tylko przypadkowo ocalało, a ponad wszystko cenią wspomnienie o towarzyszach walki podziemnej, którzy zginęli i którym należy się wierna myśl.

Ta też wierność myśli każe mi pisać prostą relację o poznanych w akcji podziemnej uczestnikach walki, z którymi stykałam się w bezpośredniej współpracy w prasie konspiracyjnej. Nie mogę nakreślić ich

pełnych sylwetek, bo przeważnie byli to ludzie nowo zjawiający się w mym kręgu, ale zapamiętałam bardzo wyraźnie cechy ich charakteru, pracy, dzielności i odwagi. Czuję się na zawsze z nimi związana w jakiś sposób, który przynosi mi zaszczyt i który mnie wciąż obowiązuje¹.

LATA POPRZEDZAJĄCE

W latach poprzedzających wybuch wojny i najazd hitlerowski na Polskę, zgodnie z powszechnym kryzysem ekonomiczno-społecznym, moja sytuacja zawodowa — jako dziennikarki po kilkunastu latach pracy w prasie stołecznej — była szczególnie niekorzystna. Od jesieni roku 1934 usunięta z redakcji², wraz z kolegami niesolidaryzującymi się z istniejącym „sanacyjnym“ porządkiem rzeczy: komunistą, liberałem i bezpartyjnymi — musiałam poprzestawać na marginesowych pracach i niestałych zarobkach. Przez pewien czas, w dwu okresach jako bezrobotna zarejestrowana urzędowo pobierałam przysługujący mi zasiłek. W kolejce przy wypłacie spotykałam innych kolegów. Kryzys na rynku pracy dziennikarskiej coraz bardziej zaostrzał się w miarę kurczenia się czytelnictwa prasy „zglajszaltowanej“, niechętnie przyjmowanej przez społeczeństwo żyjące w atmosferze ekonomicznego i politycznego ucisku.

Dwukrotnie tylko w ciągu pięciu lat po kilka miesięcy pracowałam w zespole redakcyjnym. W r. 1937 w „Dzienniku Porannym“, organie Związku Nauczycielstwa Polskiego, który podjął walkę polityczną z okazji słynnej sprawy „Płomyka“, pod redakcją Wandy Wasilewskiej. Okres bujnego, gorącego wrzenia w tej redakcji zakończony strajkiem okupacyjnym pracowników w lokalu redakcji (Nowy Świat 57)³ zawie-

¹ Notuję tutaj wiadomości, może uboczne, lecz wiążące się z wypadkami okresu okupacji i z atmosferą działań konspiracyjnych, z niektórymi osobami. Częściowo są to dodatki moje własne, częściowo informacje uzyskane od innych osób — co zawsze wyraźnie zaznaczam.

Co do nazwisk, kryjących się pod pseudonimami, podaję je dla osób już nie żyjących, natomiast dla żyjących — tylko po uzyskaniu ich zgody.

² Z wydawnictwa „Prasa Polska“ (Marszałkowska 3/5) w przeciągu kilku dni zostali zwolnieni w jesieni 1934 r. dziennikarze: Stefan Grostern, Antoni Bida, ja oraz Wacław Borowy (nie mający nic wspólnego z profesorem literatury tegoż imienia i nazwiska). Dymisję tego ostatniego wkrótce cofnięto.

³ W skład redakcji „Dziennika Porannego“ (Nowy Świat 57) od wiosny 1937 r. lub w ciągu kilku miesięcy jej trwania wchodził lub też współpracowali: jako redaktor naczelny Jan Czarnocki, a po jego ustąpieniu Stefan Grostern i Antoni Wieczorkiewicz, Jerzy Borejsza, Wiktor Medres (Grosz), Wojciech Skuza, Marcelina Grabowska, ja, Emil Kicyła, Maria i Halina Krüger, Waldemar Babinicz

szonogo przez władze dziennika, był dla mnie okresem wyteżonej pracy początkowo w sekretariacie redakcji, a potem publicystycznej. Pisałam wówczas dużo i naprawdę z wena, z entuzjazmem, w atmosferze rozgrywających się wydarzeń w kraju i za granicą. Niepokój w całym otaczającym świecie dawał impuls do walki, podniecie do pracy. Nie zaniedbywałam działalności społecznej w organizacjach kobiecych, wstąpiłam jako jedna z pierwszych do Klubu Demokratycznego. Ugrupowania różnych odcieni lewicy były jednak wciąż rozbijane, ludzie z konieczności rozpraszali się, bądź dla akcji politycznej, bądź w poszukiwaniu środków egzystencji.

Znalazłam się znowu wkrótce „poza nawiasem“, w trudnych warunkach materialnych. Zrywały się raz po raz kontakty ze środowiskiem dziennikarskim, w którym rządziły wówczas oficjalne sanacyjne czynniki. Wśród lewicowych organizacji kobiecych, po rozwiązaniu Klubu Politycznego Kobiet Postępowych, mała grupa Oddziału Polskiego Międzynarodowej Ligi Pokoju i Wolności nie miała żadnej możliwości do wystąpień, istniała w postaci niemego świadka. Usiłowaliśmy utrzymać bodaj istniejące komórki organizacji kobiecych zawodowych, oddziaływać na rynek pracy i ożywiać solidarność kobiet pracujących. Dawało to jednak minimalne rezultaty przy dużych wysiłkach społecznych. W Klubie Demokratycznym, w którym wówczas bywałam, zawiązywały się koterie i intrygi, zniechęcające mnie do współpracy.

Z końcem 1938 r. zostałam wciągnięta do pracy w redakcji „Dziennika Powszechnego“, organu Konfederacji Pracowników Umysłowych (Al. Jerozolimskie 101)⁴. Praca — sekretariat redakcji, często i zastępstwo redaktora naczelnego — była trudna ze względu na niedobry skład współpracowników. Mimo patronatu związkowego nie było w tym „zespole“ żadnej zespołowej myśli ani chęci do pracy. Patro-

i inni. W zespole, jak widać, pracowali ludzie lewicy, komuniści, radykali chłopscy, socjaliści, bezpartyjni. W strajku protestacyjnym — wobec zamknięcia pisma przez władze — wzięli udział pracownicy redakcji i administracji.

⁴ W redakcji „Dziennika Powszechnego“ (Al. Jerozolimskie 101) w l. 1938—1939 pracowali: jako red. naczelny Mieczysław Krzepakowski, a po jego wyjściu Józef Mieszkowski, następnie już w lecie 1939 r. Jan Czarnocki; jako sekretarz redakcji — do wiosny 1939 r. ja — oraz Mieczysław Rosenbaum, Szyszko-Bohusz (kapitan), Marian Kubicki, Stefan Gacki, senior, i inni, drukowała swe utwory poetyckie i literackie Elżbieta Szemplińska. Dużo miejsca stosunkowo zabierały artykuły i felietony działaczy związkowych.

Od osób innych, z drugiej ręki, mam informację, iż w początku września 1939 r. redakcja „Dziennika Powszechnego“ została przeniesiona do lokalu „Robotnika“ przy ul. Wareckiej 7 i tam pod redakcją J. Czarnockiego wychodził w połączeniu z pepesowskim „Dziennikiem Ludowym“ — „Dziennik Ludowy Powszechny“ do czasu zbombardowania redakcji i drukarni „Robotnika“.

nat zaś często wnosił dalsze elementy rozstroju. Ostrożność związkowców, ich rachuby i ambicje partykularne uniemożliwiały postawę opozycyjną, o której początkowo była mowa. Po kilku miesiącach mojej ciężkiej bardzo pracy, z wiosną 1939 r. postarano się usunąć mnie w drodze intrygi, a wkrótce ustąpił też redaktor naczelny. W coraz trudniejszych okolicznościach zdobywałam środki egzystencji, dzięki współpracy w czasopismach społecznych, w Polskim Radio i dzięki różnym dorywczym pracom.

WOJNA 1939

Zbliżanie się wojny odczuwałam tak bardzo boleśnie, że nie chciałam już żyć. Nie wyobrażałam sobie swego miejsca w tym, co nadchodziło. Pierwsze dni września 1939 r. naloty i bombardowania przeżywałam w bardzo ciężkim przynębieniu. Ale kraj walczył, Warszawa wrzała i potrzebowała skupienia energii wszystkich. Naprzód przyszły propozycje Polskiego Radia — opracowywania pogadek aktualnych, które niemal codziennie aż do zamknięcia radia w oblężonej Warszawie albo sama wygłaszałam, albo dostarczałam na ul. Zielną dla spike-rów. Następnie rozpoczęła się praca w „Biuletynie Prasowym dla Użytku Pism Warszawskich“, wydawanym po wyjeździe redakcji PAT. O tym „Biuletynie“ ukazującym się regularnie od 11 do 20 września (ul. Zgoda 8) podałam krótką relację w „Życiu Warszawy“, 1959, nr 217 z dn. 10 IX. Zgłosiłam się ochotniczo do tej pracy i miałam powierzony sobie reportaż miejsko-społeczny.

Wkroczenie okupantów do wykrwawionej, pokrytej zgliszczami pożarów, zbombardowanej, wygłodzonej Warszawy wpłynęło w niespodziewanym kierunku na moje usposobienie. Przetrwiałam okrutne tygodnie oblężenia nie śpiąc prawie wcale, nie jedząc i przebywając w cudzych mieszkaniach. Wszystko, na co patrzyłam i czego doznałam w tym czasie, i co wycierpiałam wraz z całą oblężoną Warszawą, nappełniło mnie jedną tylko myślą — jednym pragnieniem: utrzymania się przy życiu, aby walczyć przeciw wrogim siłom okupanta, aby wszelkimi dostępnymi sposobami szkodzić jego panowaniu. Przeczuwałam, że z biegiem czasu stosunki będą się wciąż pogarszały, że będzie zacieśniała się obroza niewoli na naszych szyjach. Mówiłam to niektórym, którzy twierdzili na początku: „Nie tak znowu strasznie wyglądają ci Niemcy...“ A ich porządek i wspaniałe wyekwipowanie wojskowe imponowało gawiedzi. Istotnie Niemcy wkraczali do Warszawy bardzo ostrożnie, dopiero w dwa czy trzy dni po kapitulacji miasta; wysłali naprzód karetki Czerwonego Krzyża, potem samochody z chlebem... i drwiąc fotografowali wygłodzone tłumy, wyciągające ręce po te łaskawe

dary... Wiedziałam od początku, że im dalej, tym będzie gorzej, tym okrutniejsze nastaną czasy. Postanowiłam zostać w Warszawie i wejść w robotę przeciw hitlerowcom, w walkę z okupantem, o której jeszcze nic nie wiedziałam konkretnego. Ale byłam pewna, że ona będzie wkrótce podjęta, że musi być organizowana.

Wstąpiła we mnie jakaś ostateczna zaciętość. Nie byłam już młoda — 48 lat. Nie miałam wiele sił. Byłam wówczas także dość osamotniona, zanim pozbierało się i — często tylko dzięki przypadkowi — spotkało się środowisko dziennikarskie. Zrozumiała nieufność dzieliła ludzi. W powszechnej nędzy każdy szukał dla siebie przede wszystkim jakiegoś oparcia, dachu nad głową dla rodziny, środków do życia, do jakiegoś zarobkowania... Dziennikarze spotykali się w kawiarni Bliklego na Nowym Świecie lub gdzie indziej, a wkrótce w organizowanej przez Społeczny Komitet (późniejsza RGO — Rada Główna Opiekuńcza) stołówce przy ul. Smolnej. Było tam biednie, straszliwie prymitywnie, jak tylko wyobrazić sobie można w zrujnowanym mieście. Ale był już punkt spotkań, możliwości naradzenia się, poczucia się w gromadzie. Jednak po krótkim czasie trzeba było ową stołówkę opuścić, gdyż zaczęła budzić zainteresowanie władz okupacyjnych. Dziennikarze z konieczności rozproszyli się znowu — spotykaliśmy się małymi grupkami, w bliższym gronie i rzadziej. Dopiero po pewnym czasie udało się zorganizować pod płaszczykiem sklepu spożywczego spółdzielni „Pomoc Gospodarcza“ przy ul. Smolnej, wiadomy ogółowi kolegów punkt porozumiewania się i spotkań⁵. Robiono to ostrożnie, gdyż nie brakło prób wciągnięcia dziennikarzy w służbę okupanta.

⁵ Rozproszenie środowiska dziennikarskiego w Polsce, a także w Warszawie, sprawiło, że o bardzo wielu koleżankach i kolegach nie wiedziałam nic i nie spotykałam ich nawet. I tak o tragicznej śmierci Neli Łączyńskiej-Żakowej i jej męża Stefana Żaka, rozstrzelanych albo jeszcze w 1939, albo w 1940 r., dowiedziałam się dopiero pod koniec okupacji od pani Semadeniowej, dawnej nauczycielki Neli. A jednak z Nelą od czasu Szkoły Nauk Politycznych i Wydziału Dziennikarskiego łączyły mnie serdeczne stosunki koleżeńskie. Nela była referentką w Wydziale Prasowym MSZ, mąż jej — znanym działaczem spółdzielczym.

Z Grzegorzem Załęskim, w czasie okupacji redaktorem „Demokraty“, spotkałam się jedynie raz w przelocie, w momencie wsiadania do tramwaju, i dopiero po okupacji dowiedziałam się od niego o jego czynnościach.

Nie biorąc bezpośrednio udziału w prasie podziemnej, Zofia Miszewska pomagała i ułatwiała różne kontakty. Między innymi przez nią nawiązał kontakt ze mną jej kuzyn, występujący pod pseudonimem „Tadeusz“, redaktor lub współredaktor harcerskiego pisma powielanego „Polsce Służ“, i przez pewien czas zobowiązywał mnie do pisania artykułików do tego pisma. Nie dowiedziałam się jego nazwiska — wiem, że był aresztowany, może zginął.

Chcę przypomnieć o kilku spotkaniach koleżeńskich w szerszym gronie, na gruncie niejako prywatnym — z okazji tradycyjnej wieczerzy wigilijnej. Odbyło

Po kilku miesiącach ostro stała się sprawa tzw. rejestrowania się literatów i dziennikarzy, popierana gorliwie przez Ferdynanda Goetla, wpływowego działacza sanacyjno-faszystowskiego. Trzeba powiedzieć, że wśród dziennikarzy bardzo mało osób odważyło się występować za rejestrowaniem się, a więc za dopuszczeniem możliwości usług na rzecz okupanta. Istotnie, zignorowaliśmy wezwania urzędowe do rejestracji, a wszyscy przy okazji wypełnienia jakichś meldunków podawaliśmy fikcyjne dane co do stopnia wykształcenia — możliwie niskie — oraz uprawianego zawodu. Podałam wykształcenie średnie i nieokreślony bliżej zawód „urzędniczka“. Postanowiłam: mogę z głodu zdechnąć, ale nie pójdę w służbę okupanta, nawet do żadnego samorządowego biura (jak mi ktoś doradzał ze względu na dobrą znajomość języka niemieckiego). Naradzaliśmy się nad stworzeniem kawiarni — nad prowadzeniem jakiejś hodowli... wszystko to okazywało się mało realne. Młodsze koleżanki już pracowały w jakichś cukierniach, kawiarniach, biurach, ja wciąż miałam na widoku zajęcie, które mogłoby być parawanem dla pracy konspiracyjnej. Powstała we mnie myśl stworzenia czytelnicy — wypożyczalni książek. Oglądałam już lokale — szukałam współniczek.

W KONSPIRACJI

Pewnego jesiennego dnia spotkałam na ul. Mazowieckiej jednego z dawnych kolegów, Jana Czarnockiego, który bez żadnych wstępów powiedział mi: „Będziesz nam potrzebna. Prześlę do ciebie panią Kamę“. Czarnocki miał do mnie zaufanie — znał moją robotę z kilkuletniej współpracy w redakcjach.

Istotnie, w kilka dni potem zjawiła się u mnie nieznana osoba — pani Kama. Mieszkałam wtedy w małym pensjonacie przy ul. Żulińskiego 8 — część Żurawiej — po opuszczeniu mojej ładnej kawalerki (Elsterska 1) na Saskiej Kępie, dzielnicy bardzo zniszczonej nalotami i bom-

się raz takie spotkanie w jakiejś większej sali, bodajże na Nowym Świecie — następnego roku zaś w domu Heleny i Jerzego Wiewiórskich, którzy podejmowali w Wigilię z niezwykłą serdecznością około 20 osób, co w owym czasie było dużym ryzykiem.

Już pod koniec okupacji, chyba w najcięższym roku 1943, zjawił się u mnie dawny wydawca „Prasy Polskiej“, Antoni Lewandowski. Pamiętam, że przyszedł w południe, ubrany wizytowo. Bardzo życzliwie dowiadywał się, jaka jest moja sytuacja, co robię i czy nie jest mi potrzebna jakaś pomoc. Mogłam odpowiedzieć szczerze, że daję sobie radę, lecz byłam naprawdę wzruszona tą nieoczekiwaną pamięcią. Wiedziałam już od innych osób, że Lewandowski bardzo dużo i bardzo życzliwie świadczy na pomoc dziennikarzom i na poparcie walki podziemnej, w szczególności prasy.

bardowaniem wrześniowym. Mieszkanie w pensjonacie, w którym roiło się jak w ulu od wciąż nowych ludzi z różnych stron kraju, było wcale dobrym schronieniem. Pani Kama ustaliła ze mną spotkanie, które niebawem odbyło się z Janem Czarnockim w obecności Jerzego Ostrowskiego z Wilna. Nawet niewiele było jeszcze do powiedzenia — robota dopiero się zaczynała. Miałam z dostarczonego mi materiału z nasłuchu radiowego opracowywać codzienny biuletyn informacyjny w kilku egzemplarzach. Miałam ocaloną własną maszynę do pisania „Royal“. Napisane na bibułkach kartki miała odbierać ode mnie Kama albo inna łączniczka.

Początki były niesłychanie skromne, prymitywne. Nasłuch nie był jeszcze zorganizowany. Po amatorsku odebrane wiadomości, często zniekształcone, dochodziły mnie o różnych porach. Ale stosunkowo szybko ta sprawa ustabilizowała się. Od 15 grudnia 1939 r. weszliśmy w jako tako regularny tryb redagowania biuletynu nazwanego „Dziennik Radiowy“.

Muszę tu wyjaśnić, że z pewną, być może, niefrasobliwością zabrałam się do tej roboty. Niefrasobliwością, jeżeli chodzi o moje własne zaangażowanie. Mało mnie interesowała polityczna strona tego przedsięwzięcia. Dowiedziałam się, że ma ono swój ośrodek zagraniczny w armii polskiej we Francji. I na pewno wówczas nawet dla bardziej wtajemniczonych organizacja ZWZ — Związek Walki Zbrojnej — nie była jakąś postacią wykrystalizowaną i o sprecyzowanym programie. Istniała pewna rywalizacja w zakresie tworzenia prasy między wojskowymi a dziennikarzami, bez których nie można było pracować, lecz którym oficerowie sztabowi narzucali swoje metody. Wszystko było jeszcze płynne, w toku powstawania. Ważne było, że miałam możliwość wciągnięcia się w akcję podziemną, i to w zakresie tak dobrze mi znanym i tak mi odpowiadającym, jak służba prasowa i praca nad najświeższymi wiadomościami ze świata, już wówczas tak ograniczonego dla okupowanego kraju. Zdawałam sobie bardzo jasno sprawę z ważności tych funkcji i z doniosłego znaczenia prasy podziemnej w ogóle. Mniej ważny wydawał mi się wówczas sztyl polityczny, ważne było jak najspieszniejsze działanie. Nie było to, zapewne, prawidłowe myślenie polityczne, ale trzeba zrozumieć warunki okupacyjne i moją, naszą powszechną niecierpliwość, pragnienie niezwłocznej walki przeciw okupantowi. Tu zyskiwałam możliwość szkodzenia mu tą bronią, którą mogłam władać. To było naczelne pragnienie, to był motyw i motor mej decyzji. W dalszym toku zdarzeń takie stanowisko, wspólne wielu ludziom bezpartyjnym, okazało się trudne i może nawet naiwne wobec zażartych zmagających się partii i zmieniających się sił politycznych w świecie i w naszym podziemiu.

PIERWSZY „DZIENNIK RADIOWY“

Początki mojej pracy nie były trudne, natomiast bardzo trudne było zorganizowanie odpowiednio zabezpieczonego nasłuchu radiowego. Już w jesieni 1939 r. niemieckie władze zarządziły odbieranie obywatelom prywatnych radioodbiorników, a posiadanie ich nielegalne było surowo karane. Ryzyko słuchania i notowania wiadomości od początku było duże, a w miarę rozrastania się prasy podziemnej coraz większe, grożące śmiercią. Okupanci zażarcie ścigali nasłuch radiowy i na miejscu rozprawiali się z ludźmi przy odbiornikach. Zastosowali nowe metody wykrywania radia. Początkowo jeszcze nie dość orientowali się w możliwościach polskiego ruchu podziemnego.

Pierwsze nasłuchy dla „Dziennika Radiowego“ pochodziły spod Warszawy, z Milanówka i z Włoch, gdzie zorganizował małe placówki „Czerkies“ — Kazimierz Grudziński, jako kierownik tej komórki. Odbiory były amatorskie, nie dość dokładne, przy odbiorze fonicznym często zawodziły wskutek zakłóceń. Grudziński, wówczas urzędnik Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, wczesną rano przyjeżdżał z nasłuchem w kieszeni kolejką EKD do Warszawy; po drodze do biura, około godziny 7 rano, stukał do mego pensjonatu i wręczał mi kartki z notatkami. Od razu zabierałam się do roboty; szybko redagowałam wiadomości, pisząc w kilku egzemplarzach na maszynie. Około godziny 9,30 przychodziła po kartki łączniczka. Na razie nikt z mego otoczenia nie interesował się tym, co robię. Gdy po pewnym czasie pokojówka zaczęła mnie podpatrywać (istotnie miała kontakty z gestapowcami, jak się później okazało), pozostawiałam na stole porozrzucane stosy maszynopisów z jakąś naprędce skleconą niby-powieścią sentymentalną.

Niekiedy „Czerkies“ zjawiał się i po południu, gdy miał mi coś do zakomunikowania, albo po prostu miał chwilę czasu przed pociągiem i wołał siedzieć pod dachem niż na ulicy. Trochę także było cieplej tutaj. Tej zimy, gdy mrozy przekraczały 30 stopni, a opału było bardzo skąpo w całej Warszawie, marzło się okrutnie. Wspominam o tym dlatego, że wówczas jeszcze były możliwe i dopuszczalne bardziej swobodne stosunki koleżeńskie, w dalszych latach nie tolerowane ze względu na bezpieczeństwo komórek pracy.

Przychodziły też czasem do mnie — poza poranną turą obowiązkowego odbioru maszynopisu „Dziennika“ — miłe nasze łączniczki, aby się pograć przy lampie elektrycznej, tzw. „słońcu“, które dawało złudzenie, że coś jednak nas ogrzewa. Były to zwłaszcza „Dorota“ — Maria Barańska i „Ewa“ — Helena Worobijczyk, którą do konspiracji wciągnęłam. Była moją organizacyjną „córką“. Dobre były te rozmówki z młodymi, piękna atmosfera ich szlachetności w otaczającym świecie

grozy, terroru, nędzy... Myślę o nich nieraz, wspominając owo elektryczne słońce w pokoiku na Żulińskiego, te wiatrem podszyte, kurtki łączniczek w tęgi mróz, ich zgrabiałe czerwone i sine ręce, ciekące z topniejącego śniegu buty „Czerkiesa“ — i ich ożywione, młode głosy. Z tej trójki wkrótce zginąć mieli „Dorota“ i „Czerkies“⁶.

Mam wrażenie, iż rychło nasza organizacja wojskowa odczuła potrzebę dobrych, dokładniejszych informacji zagranicznych, gdyż starano się o ulepszenie nasłuchów. Jednym z tych dobrych był odbiór „Ludwilka“, pochodzący od wybitnego lekarza, który korzystał z aparatu radiowego w klinice. Następnie dublował nasłuch „Stefan“ z Saskiej Kępy⁷, lecz były to wciąż odbiory foniczne, a na odbiory Morseem trzeba było czekać jeszcze 2 lata. Nasłuchy dostawałam w języku polskim, nieraz też w obcych. Znałam dobrze lub dostatecznie dobrze cztery języki obce, więc mogłam pracować bez tłumacza. Po pewnym czasie dostarczono mi atlas, cyrkiel i szkło powiększające do pomiarów. Pisało się gęsto na cienkich bibułkach białych, czasami i kolorowych, formatu znormalizowanego, zostawiając małe marginesy i robiąc skróty konwencjonalnych wyrazów. Od początku do końca okupacji biuletyn nosił ten sam tytuł „Dziennik Radiowy“. Był robiony do wyłącznego użytku

⁶ Gdy wyjeżdżałam do mojej rodziny w Małopolsce, w Krakowie, wyszukałam osoby — według wskazówek żony „Czerkiesa“ — które mogły mnie z nim skontaktować. W Sukiennicach, w jednym z kramów, handlowali Poznaniacy, jego znajomi. Zadni ci ludzie dali mu znać (za pierwszym razem był nieobecny, przebywał na robotach drogowych) i Kazimierz pewnego dnia spotkał się ze mną. Porozmawialiśmy spokojnie, przechadzając się bocznymi ulicami gdzieś w okolicy Zamku. Uważał za bezpieczniejsze zgłoszenie się do „dobrowolnej“ pracy fizycznej, tam prowadził akcję, być może werbunek do Armii Krajowej. Wśród współtowarzyszy, budujących drogi, przeważnie ludzi młodych. Był silny fizycznie i bardzo dobrze wyglądał. Rozumiałam, że praca jego była niebezpieczna, ryzykowna. Na tym spotkaniu widziałam go po raz ostatni. Wkrótce wiadomości od niego przestały napływać do żony, mieszkającej w Milanówku. Został aresztowany z błażych powodów, nie mających nic wspólnego z konspiracją, i osadzony w więzieniu na Montelupich; po pewnym czasie wywieziony jakoby na roboty do Norwegii. Nigdy nie mogłam się o nim niczego dowiedzieć — to była ostatnia pogłoska, uzyskana od Poznaniaków z Sukiennic.

Spośród dawniejszych współpracowniczek znikła nam także z oczu miła „Dorota“, maturzystka z poważnymi dziecinnymi oczami — Maria Barańska, wysłana, jak mi mówiono, w trudnej jakiejś misji na prowincję. Nigdy nie powróciła, prawdopodobnie zabita. Nie miała jeszcze 20 lat.

⁷ „Stefana“ z Saskiej Kępy nigdy nie widziałam. Opowiadała mi o nim parę razy łączniczka „Kasia“, która odbierała nasłuchy od niego. Bardzo mu współczuła. Był to artysta, muzyk, Adam Szpak, pochodzenia żydowskiego, co narażało go na specjalne prześladowanie. Przez kilka lat udawało mu się uniknąć większych trudności — jednak pod koniec okupacji podobno został wyśledzony przez gestapo i zamordowany.

sztabu, dowództwa i władz ZWZ, później AK (Armii Krajowej) i Delegatury Rządu i nie miał być kolportowany szerzej. Zdarzało się jednak, że w Powielarni przepisywano lub odbijano nieco więcej egzemplarzy i puszczano w kurs wśród zaufanych przyjaciół. Sama kiedyś natrafiłam — już w latach końcowych okupacji — na tego rodzaju fakt, będący pewnym nadużyciem, lecz bardzo zrozumiały. Głód wiadomości był jednym z najcięższych głodów okupacyjnych.

GAZETY I DZIENNIKARZE

Już wtedy w początkach akcji podziemnej większość społeczeństwa, nie mówiąc o organizacjach oporu, zdawała sobie sprawę z doniosłości gazety konspiracyjnej. My, dziennikarze z zawodu i z zamiłowania, nie mieliśmy, oczywiście, żadnych wątpliwości, jaką rolę może i powinna spełnić prasa informująca społeczeństwo, inspirująca i regulująca postępowanie mas, wytyczająca perspektywy przyszłości. Nie wiedząc często jedni o drugich, dziennikarze warszawscy, dziennikarze poznańscy, którzy uciekli tutaj, dziennikarze z różnych stron, chroniący się chwilowo w Warszawie, przystępowali do prac podziemnych, w różnych ugrupowaniach politycznych, inicjowali informowanie, orientowanie społeczeństwa, utrwalanie jego hartu i woli bojowej. Niejeden raz zdarzyło mi się przypadkowo „wpaść na trop“ któregoś z kolegów w prasie podziemnej, lecz o wielu z nich i o ich działalności dowiedziałam się w kilka lat po wyzwoleniu. Nawet gdy istniały podstawy do zaufania między ludźmi, istniało również obowiązujące prawo milczenia wobec wszystkich, którzy nie musieli być informowani, wobec współpracowników w organizacji, wobec rodziny, wobec najbliższych przyjaciół. Była to obowiązująca tajemnica bardzo istotnie umotywowana — nie tylko wiernością służbie, nie tylko obawą pomyłki, nie tylko obawą czyjś gadulstwa lub nierozwagi, nie tylko możliwością istnienia podsłuchu lub zdrady, lecz dobrem wszystkich pracujących w podziemiu. Wobec grożących represji, wobec stosowania najokrutniejszych metod śledztwa torturowania aresztowanych — każdy uczestnik prasy podziemnej starał się jak najmniej wiedzieć o innych, aby w razie prowokacji lub aresztowania nie utrudniać sobie własnych zeznań.

Zawsze przy okazji wypływa pytanie: Czy baliście się? Przed czym i w jaki sposób odczuwaliście strach? Są ludzie, którzy wyznają, że nie odczuwali strachu w czasie bombardowań i nalotów, że spokojnie znosili niebezpieczeństwa okupacyjne. Sama widziałam zdumiewające przykłady zachowania się niektórych osób. Nie należałam do śmiałych ryzykantów. Nie miałam wytrzymałych nerwów: naloty i bombardowa-

nia ostatecznie mnie rozstrajały. Bałam się, często nawiedzał mnie strach. Ale zgodnie z moim usposobieniem byłam spokojna i nigdy nie popadałam w zamęt lub gwałtowne objawy strachu. Nie chciałam, aby ktoś spostrzegł moje przerażenie, nie chciałam innym utrudniać sytuacji. Raczej więc milczałam, nieruchomiałam. Wewnętrznie bardzo ciężko przeżywałam te nerwowe wstrząsy.

Wobec bezpośredniego niebezpieczeństwa zawsze mnie ratowała z opresji jakaś chłodna jasność spojrzenia na sytuację. Stawałam się zdecydowana na wszystko. Czy działał w obronie życia silny pierwotny instynkt? Było to dla mnie samej tajemnicze skupienie wszystkich sił umysłowych, kiedy indziej rozproszonych. Jakby za obrotem kłamki nagle precyzowały się ruchy i słowa. Po prostu mówiąc, wobec rzeczywistego niebezpieczeństwa „nie traciłam głowy“. Sama dziwiłam się, jak to się dzieje, skoro w życiu codziennym bywałam tak często roztargniona, pełna wątpliwości i słabo orientowałam się w ludziach i w sytuacjach skomplikowanych⁸.

⁸ Jeszcze na Żulińskiego przytrafiła się chwila groźnego niebezpieczeństwa oko w oko z gestapo. Pewnego ranka w zimie przesunęłam się z maszyną do pisania bliźutko do pieca, przy drzwiach pokoju, który zresztą był pierwszym na prawo od wejścia do długiego korytarza-przedpokoju. Z otwartego na pół paleniska dochodziło miłe ciepło i szybko pisałam serwis „Dziennika Radiowego“ z rozłożonych na stoliku kartek. Nagle ktoś otworzył drzwi bez pukania i tuż przed sobą zobaczyłam czapkę z trupią czaszką i ponurą twarz młodego gestapowca. Nie ruszyłam się z miejsca, gdy krzyknął, „Sind Sie Judin“ — Z całym spokojem odpowiedziałam: „Nein — Polin, ich heisse so and so“. Nie słuchając dalej, nie patrząc, pobiegł do dalszych pokoi. Zebrałam notatki i na pół zapisany papier z maszyny i wrzuciłam do pieca. W tym momencie powrócił i zastał mnie klęczącą przed piecem z pogrzebaczem w ręku. Pejczem trącił mnie w ramię, kazał natychmiast wyjść z pokoju i zostać w jadalni pensjonatu. Z udaną obojętnością zamknęłam piec, wstałam i powoli weszłam na korytarz. Tu głośno protestowała prowadząca pensjonat p. Janina Woronicz. Daremnie. Siedząc z resztą obecnych mieszkańców w jadalni, rozmyślałam tylko, jak zabezpieczyć „Dorotę“, która za 15—20 minut powinna przyjść po serwis. Rzeczywiście przyszła; pokojówka wprowadziła ją do jadalni. Usiadła przy mnie. Zdażyłam ją zapytać, czy nie ma przy sobie czegoś... na szczęście nie. I jak się nazywa zgodnie z dowodem... niechaj powie, że przyszła do mnie po książkę, którą obiecałam jej pożyczyć. Tymczasem gestapowcy hulali po mieszkaniu. Ich krzyki dochodziły z pokoju pewnej starszej pani, która była żoną bogatego przemysłowca z Łodzi. Niemców zaślepiła nadzieja rabunku dolarów i złota — porozbijali sprzęty, podrywali obcasy od bucików i wrzeszczeli, wymyślając jej, jak Polka mogła poślubić Żyda... Podobno rozebrali ją do koszuli — skarbów jednak nie znaleźli w jej pokoju. Grożąc wyprowadzili ją, zaarrestowawszy. W parę godzin przybiegł jej mąż, dowiadując się, co się stało. Różnymi drogami, oczywiście za okupem, udało się podobno zwolnić aresztowaną. Przy okazji jednak wyszła na jaw rola eleganckiej, z doskonałymi rekomendacjami z „hrabiowskich domów“, pokojówki. W parę dni po tym epizodzie odeszła z pensjonatu, spełniwszy tu swą rolę denuncjatorki.

Trzeba też powiedzieć parę słów o pomocy materialnej dla pracowników prasy podziemnej. Oczywiście mogę mówić tylko o tym, co było mi znane. Bez żadnego układu, bez żadnych wstępnych obietnic, po kilku tygodniach pracy, którą uważałam za społeczną, bezinteresowną, otrzymałam jakąś sumę — niedużą — jako pomoc. Po ustaleniu się współpracy, przysyłano mi co miesiąc przez łączniczkę z tzw. poczty czy z sekretariatu Biura jakąś sumę, na wysokość której wpływały niewiadome mi okoliczności. W każdym razie nie było to wynagrodzenie za pracę ani „honoraria“, z których można by się utrzymać, lecz pomoc ważna, bo stała. Z okazji różnych świąt otrzymywałam paczki żywnościowe. Pochodziły z magazynów „Społem“, które ogromnie zasilają akcję. Podobne paczki otrzymywały osoby, będące pod opieką „organizacji“; w moim kręgu np. dwie osoby, jedna matka, druga żona nieobecnych towarzyszy pracy. Regularnie, co miesiąc odbierały w moim mieszkaniu pieniężne zasiłki przez cały czas okupacji, aż do Powstania.

ZMIANY W KIEROWNICTWIE

Ciężka zima 1939/40 nie ograniczała naszych działań. Trzeba było nieraz biegać po mieście, nałożywszy na siebie wszelkie ciepłe odzienie, marznąć w twarz i ręce. Z tej pierwszej zimy pamiętam moje wędrówki na pobliską ulicę Hożą, do jakiegoś sympatycznego młodego małżeństwa, na ulicę Górskiego do energicznej pani Marysi, która uciekła wkrótce za granicę. Jednego z tych mroźnych poranków, o świcie, w lu-

Gdyby nie niemiecka tępa metoda spełniania nakazanego zadania i ograniczanie obserwacji do tylko tego zadania, mogło się ze mną już wtedy źle skończyć.

Myślę, że w ogóle towarzyszyło mi jakieś niebywałe szczęście, traf, że wymijałam posterunki szpiclowskie panów w jasnych paltach, że nie zwracali uwagi na starszą, biednie odzianą kobietę ani pędzący w autach, ani goniący za przechodniami gestapowcy. Nawet kiedyś w podróży, w groźnej łapance w Dęblinie już w 1942 roku, gdy masowo brano ludzi na roboty, agent odsunął mnie na bok. Byłam rzeczywiście mizerna, licha — ale i takie przydawały się w obozach. Gdy dokonywano systematycznej rewizji na początku 1944 r. na naszej ulicy, zatrzymano się o jeden dom od naszego, mając widocznie już „spełnione zadanie“.

Przez kilka lat kursowanie po mieście odbywało się wśród zewsząd czyhającego niebezpieczeństwa „łapanek“, rewizji, donosów, systematycznego patrolowania ulicy. Gdyby nie wielka solidarność społeczeństwa, ofiar byłoby znacznie więcej. Ale zewsząd padały ostrzeżenia przed niebezpieczeństwami, obcy ludzie szepotali przechodniom: „Uwaga — patrol za nami“, albo zatrzymywali tramwaje, gdy na sąsiednich ulicach zaczynała się „łapanka“, i w jednej chwili pasażerowie znikali z wozów. To były najpospolitsze fakty, ale były i bardziej skomplikowane. Często wymknięcie się z jakiejś pułapki wroga graniczyło z „cudem“.

tym bodaj lub marcu 1940 r. niespodziewanie zapukał do mnie Jan Czarnocki. Dał mi znać, że jest poszukiwany przez Gestapo i prosił, bym poszła do jego matki, zajęła się nią i po jego ucieczce, już przygotowywanej, zamieszkała razem z nią. Oczywiście zrobiłam tak. Pani Zofia, która mnie już знаła, przyjęła mnie jak zaufanego sprzymierzeńca⁹.

Po ucieczce Czarnockiego szefowie moi byli już wyłącznie wojskowymi. Pewnego dnia zjawił się u mnie wysoki, szczupły pan w oficerskich butach — pseudonim Sławski — uprzejmy i spokojny, małomówny i dyskretny, nasz nowy szef. Zostawiał mi pełną swobodę w pracy, nie miał nigdy żadnych pretensji, w rzadkich spotkaniach niezwykle lakonicznie załatwiał najważniejsze dla mnie polecenia. Później — gdy już nie czuwał nad „Dziennikiem“, spotykałam go przygodnie, w księgarniach najczęściej, zawsze w tych wysokich butach, przeglądającego książki ze skupioną uwagą. Z niewzruszonym spokojem ten znany historyk wojskowości pracował nad swoją dziedziną i wśród niemieckich patroli i gestapowców krążył po Warszawie.

Nie mogłam pisać serwisu „Dziennika“ u siebie w nowym mieszkaniu, znajdującym się jako jedna z ostatnich polskich siedzib wśród niemieckiej enklawy w Alei Szucha. Mniej więcej od połowy kwietnia 1940 roku zaczęły się wędrowki po różnych „lokalach“, użyczanych nam przez sprzymierzone osoby. Było na przykład miłe mieszkanie parterowe na rogu Willowej i Chocimskiej, zajęte przez młodziutką panią z niemowlęciem, i dobrze nam się tam pracowało do chwili, kiedy wrócił jej mąż i niechętnie patrzył na nasze niebezpieczne praktyki.

Przez szereg miesięcy naszą redakcją było mieszkanie „Klary“ przy

⁹ O tej kobiecie, wówczas już 70-letniej, obdarzonej niesłychaną siłą żywotności, prostym rozumem, mnóstwem dziwactw i śmiesznościami, prawej i mocnej jak warszawski proletariatus, z którego pochodziła, z tradycjami pepesowskiej walki i wspomnieniami 1905 roku na robotniczej Woli — można by napisać ciekawą nowelę. Dobra gospodyni, dzielna kobieta, odważna i nieustraszona wobec okupantów, nadzwyczaj prawa i dyskretna — mimo zabawnego gadulstwa — była dla mnie prawdziwie bliską i drogą opiekunką. Aż do momentu wygnania nas z domu podczas Powstania 1944 r. dzieliła moją dolę i niedolę. Ze swej strony uzyskałam dla niej od organizacji zabezpieczenie pomocy, którą utraciła po ucieczce syna, oraz, jak mogłam, otaczałam ją życzliwą opieką. Później odnalazła ją wnuczka, a po okupacji zabrała do siebie.

Do pani Czarnockiej, w Alei Szucha 2, przeniosłam się dopiero w pewien czas po wyjeździe Jana, który znalazł jeszcze moment któregoś wczesnego ranka, by wpaść do mnie pożegnać się przed ucieczką. Był to właściwie komfortowy wyjazd za granicę, zorganizowany przez członków ambasady włoskiej i w ich gronie. Jan otrzymał włoski paszport i szczęśliwie dotarł na miejsce, potem do Francji. O jego dalszych losach dowiadywałam się już bardzo z rzadka, więcej po okupacji z listu do matki. Zmarł w Londynie w końcu 1946 roku lub w początku 1947 na raka w gardle.

ul. Odolańskiej 10, na I piętrze. „Klara“ — Klara Puciówna, której nazwiska dowiedziałam się dopiero niedawno, była urzędniczką, doskonale pisała nam na maszynie serwis „Dziennika“. Około 35-letnia, drobna szatynka, była odważną, niezwykle dzielną osobą. Przed wojną była wzorową sekretarką jednego z biur architektonicznych. Dla mnie lżejsza była teraz praca, gdy mogłam dyktować tekst. U „Klary“ przeżywałyśmy tragiczne momenty załamywania się wojny we Francji. Gorączkowo pochłaniałyśmy wtedy wiadomości napływające o marszu Niemców na Paryż, o ostatnich bastionach oporu... Pamiętam, że piękny, pogodny dzień, gdy przyszła wieść o kapitulacji Francji, wydał nam się w Warszawie jakby urągówiskiem z naszej podwójnej już żałoby, z tej równej niemal upadkowi Warszawy klęski. Tegoż dnia czerwcowego po południu władze okupacyjne kazały bić w dzwony w kościołach warszawskich na chwałę zwycięstwa. Ludzie płakali na ulicy słysząc te dzwony, od dawna przecież zamilkłe... Szłam sama przez plac Teatralny rozświetlony, pusty wśród ruin wrześniowych, dusząc się od łez. Ale klęska Francji — rzecz może dziwna — w rezultacie dodała nam tutaj w Polsce ducha do wytrwania, podniosła bowiem w świadomości ogółu wartość naszego wrześniowego oporu, tej „śmiesznej wojny“, konnicy przeciw czołgom. Jeżeli bowiem broniliśmy się i walczyliśmy przez 5 tygodni (nie przez 3, jak podawały niemieckie źródła wojskowe), to wobec potężnej Francji było to znacznie więcej.

ROZWÓJ „DZIENNIKA“. JEGO UKŁAD

W owym czasie w „Dzienniku Radiowym“ poprawiła się już znacznie obsługa nasłuchu, który otrzymywałam z paru źródeł. Nabierałam też większej pewności siebie w robocie, która musiała być bardzo szybka. Na serwis radiowy czekały komórki sztabu dowództwa i władz Delegatury, żądano coraz dokładniejszych wiadomości. Tempo pracy wymagało intensywnego skupienia się i szybkiej decyzji. Godzina mej pracy była dużym wysiłkiem, zwłaszcza jeżeli było coś niejasnego w odbiorze nasłuchu. Trzeba też było koniecznie sprawdzać niektóre dane, jak nazwiska, miejscowości, odległości frontów itd. Z polecenia szefa — w tym czasie objął nadzór nad nami „prezes“ Jan Rzepecki, wymagający i bezwzględny w sprawach dyscypliny — dostarczono mi duży atlas (niemiecki), lepszy cyrkiel i szkło powiększające. Pomiary na mapie trzeba było robić naprawdę błyskawicznie, całe szczęście, że od dziecka byłam zamiłowaną „geografką“ i nie najgorzej mogłam orientować się w mapach. Tak szczegółowo jak wówczas nigdy nie poznałam mapy Burmy, Indo-

chin, Libii, Sycylii i Włoch... z ich małutkimi nieraz miejscowościami, stanowiskami frontowymi.

Zwiększyła się też, dzięki mocniejszej, dużej maszynie do pisania i pracy rutynowanej maszynistki, ilość egzemplarzy serwisu. Z czasem przeszło się na woskówki, służące do odbijania większej ilości egzemplarzy w powielarni. Udoskonalono sposoby zagłuszania stukotu maszyny, podkładało się wojluki, jacyś specjaliści majstrowali przy maszynach, aby je ściszyć.

W naszej komórce trzeba było od czasu do czasu przenosić materiały, atlasy, maszyny do pisania, a stale notatki z nasłuchami, woskówki zadrukowane, a potem serwis gotowy. Robiły to łączniczki. Mnie stałe towarzyszyły bibułki z nasłuchem, odbierane już o 7 rano, oraz spory notatnik — encyklopedia podręczna zdarzeń politycznych i wojskowych. Prowadziłam w nim rejestr nazwisk wodzów, ministrów, polityków różnych części świata. Wojna objęła dalekie obszary Azji i Afryki, a dowódcy różnych formacji, generałowie i pułkownicy, jak i ministrowie zmieniali się. Notatnik musiał zawierać te najnowsze dane oraz różne inne informacje. Nieraz pędząc ulicami lub przez długie Pole Mokotowskie próbowałam sobie imaginować, co by się stało, gdybym z tym dostała się w „ich“ łapy... Staralam się jak najrychlej te myśli oddalić, bo nie prowadziły do niczego. A jednak była to możliwość bardzo realna — mogła się zdarzyć w okupowanej Warszawie.

Wciągnęłam się mocno w tę robotę. Interesowała mnie, dając codziennie najświeższe wiadomości ze świata. Otrzymywaliśmy wiadomości Reutera, oznaczane: R, Agence Française de Presse — AFP, United Press — UP, Associated Press — AP, Tassa — T. Znaki w skrótach podawało się zawsze jako źródło danej wiadomości, czerpanej z nasłuchu. Oczywiście również miejscowość, z której pochodziła. Do najlepszych w owym czasie należały informacje zaczynające się od słów: Harold King donosi z Moskwy. Były rzeczowe i żywe, a korespondent ten przez parę lat pozostał na swym stanowisku.

Na górze pierwszej stronicy (bywało ich 3—4, gęsto zadrukowanych) pisano tytuł: „Dziennik Radiowy“, podkreślając go, datę i kolejny numer wydawnictwa. Data była obowiązująca dla całości informacji, chyba że były jakieś od niej wyjątki. Naprzód umieszczano się zgrupowane wiadomości wojenne — komunikaty z frontów, wysuwając na czoło najważniejszy w danym momencie front — następnie wiadomości polityczne, informacje specjalnie Polski dotyczące. Niekiedy zdarzały się wiadomości z ostatniej chwili, nadchodzące w toku redagowania i pisania „Dziennika“.

Kartki z nasłuchem przynosiły mi wcześniej rano łączniczki. Zwykle do mieszkania, czasem do lokalu redakcyjnego, zależnie od umowy i moż-

liwości. W ciągu roku 1940 zyskałam nową, wesołą, sympatyczną łączniczkę w osobie „Rysi“, która szczęśliwie przetrwała okupację i Powstanie. Przynosiła nasłuchcy „Ludwika“ i „Franciszka“ czasem z Grochowa, czasem z Czerniakowskiej z biur ZUS-u, a potem zabierała gotowy serwis. Nieraz po pracy u „Klary“ szliśmy część drogi razem, zawsze bez troski rozmawiając o . . . zakupach i kapeluszach, których nie nosiliśmy, nadając sobie pozory niefrasobliwości. Niestety, nasza miła „Klara“ umknęła mi z pola widzenia. Przeniesiono lokal redakcyjny na ul. Kruczą 8, róg Wilczej, do bardzo sympatycznej pracowni krawieckiej. Gdy po pewnym czasie zajrzałam do „Klary“, a dozorca szorstko mi odburknał, zrozumiałam, że coś się tu stało niedobrego. Istotnie „Klara“ i jej brat zostali aresztowani. Wywieziona podobno do więzienia kobiecego w Fordonie, nie dała już nigdy znaku życia i nie mogłam dowiedzieć się od nikogo, co się z nią stało.

PRZYKRY ROZKAZ

W toku lata 1940 mianowano szefem mojej komórki nową osobę pseudo: „Śruba“ lub „Miotła“. Była to oryginalna postać, inżynier jakiejś specjalności, kobieta z wykształceniem wojskowym — jak sama to wobec mnie akcentowała. Niewątpliwie, na pracy dziennikarskiej nie znała się, przysłuchiwała się nieraz naszym spotkaniom redakcyjnym i wyciągnęła z nich dość opaczne wnioski. Mój pośpiech w pracy, owo tempo, jakim mogłam (zdaje mi się) wykazać się, brała za zwykłe . . . niedbalstwo, mój skupiony wysiłek uchodził widocznie jej uwagi. Po pewnym czasie otrzymałam przez łączniczkę rozkaz przekazania „Śrubie“ redakcji „Dziennika“ — bez żadnego dalszego dla mnie zlecenia jakiegokolwiek funkcji. Było to bardzo przykre i, jak sądziłam wówczas, krzywdzące. Później dowiedziałam się, że „Śruba“ oskarżyła mnie o lekceważenie obowiązków. Przeczekawszy kilka dni, zwróciłam się za pośrednictwem życzliwej mi sekretarki „Maryny“ do władz BIP-u (Biura Informacji i Prasy) z prośbą o wysłuchanie mnie. Wyznaczono mi spotkanie, o ile pamiętam z „Tomaszem“. Odbędzie się ta rozmowa w „salonie mody“ na ul. Marszałkowskiej. Wśród cudacznych kapeluszy damskich zjawił się średniego wzrostu pan, o wybitnie wojskowej postawie, i przeprowadził ze mną rozmowę wyjaśniającą moją sytuację.

Wkrótce skierowano mnie na stanowisko, świadczące o zaufaniu, sekretarki szefa prasowego „Wiktora“, znanego inżyniera, wydawcy pism obozu narodowego. Pierwsze z nim spotkanie odbyło się w kawiarni Marca przy placu Trzech Krzyży, co mnie zresztą, jako miejsce, trochę zadziwiło. Los chciał, że właśnie tego dnia w południe z okien tej kawiarni mogliśmy obserwować pierwszą na ulicach Warszawy „łapankę“. Nie za-

pomnę widoku długiego szeregu mężczyzn, posuwających się w zupełnym milczeniu w pochodzie przez miasto, w gęstym obramowaniu niemieckich mundurów. Nas, siedzących jakoby w próżniaczym plotkowaniu w kawiarni, zostawiono w spokoju. „Wiktor“ omówił ze mną sposoby współpracy, lecz od razu widziałam, że nie będzie to zbyt intensywna robota. Jego zlecenia ograniczały się do przepisania mało znaczących notatek, do odniesienia listu itp. Przypuszczałam, że nie ma do mnie zaufania albo też jego metoda pracy polega na osobistym załatwianiu spraw istotnych.

Nową wówczas akcją było utworzenie komitetu porozumiewawczego stronnictw, do którego weszli socjaliści, stronnictwa narodowe i centrowe. Dwa takie zebrania odbyły się w naszym lokalu w domu przy Alei Szucha, gdyż uważano, że spotkanie w południe, w samym środku dzielnicy niemieckiej, w pobliżu Gestapo będzie właśnie bezpieczne. I tak też było, chociaż siedząc w sąsiednim pokoju podczas tych zebrań trochę denerwowałam się. Poznałam wówczas paru działaczy, między nimi Adama Próchnika, z którym i nadal utrzymywałam kontakty w następnej mojej robocie.

W „AJENCJI PRASOWEJ“

Bardzo nudziłam się przez parę miesięcy, nie mając nic porządnego do roboty u „Wiktora“, i doczekałam się, że zmieniono mi przydział, przesuwaając do redakcji „Ajencji Prasowej“, wydawnictwa mającego zasilać prasę prowincjonalną. Było to przedsięwzięcie dobrze pomyślane, potrzebne. Redakcja była już skompletowana i mnie zaproponowano trochę z przeprosinami i usprawiedliwieniami pracę techniczną. Po prostu pisanie serwisu na maszynie i pomoc przy kolportowaniu go w Warszawie, skąd rozwożony był dalej. Bez wahania przyjąłem propozycję. Nie kierowałam się w pracy konspiracyjnej ambicjami zajęcia jakiegoś „stanowiska“. Pragnęłam być użyteczna, pracować przydatnie dla celów walki wyzwolenczej. Okres mej współpracy w „Ajencji Prasowej“ trwał mniej więcej od września 1940 do końca 1941 roku — po czym wezwano mnie ponownie do redagowania „Dziennika Radiowego“.

W „Ajencji Prasowej“ weszłam w krąg rywalizujących ze sobą działaczy politycznych, ludzi młodych i dynamicznych, przeważnie z obozu radykalno-narodowego i sanacyjnego. Niejedno tu raziło moje poglądy i zasady postępowania, jednak pod względem rozmachu w pracy, energii w prowadzeniu roboty agencyjnej trzeba oddać twórcom „Ajencji“ pełne uznanie. W warunkach rosnącego terroru okupacyjnego zdobywali i rozpowszechniali dużo wiadomości, które docierały do dalekich zakątków

kraju, objętego już wówczas szeroko rozgałęzionym ruchem organizacyjnym i partyzanckim.

„Ajencja“ powstawała wśród namiętnych dyskusji, kłócono się za wzięcie „Wiktor“, człowiek ostrożny i dojrzały, przystępował do akcji z zastrzeżeniami, wahał się i zwlekał. Wielce bojowy „Malarz“ był najgorętszym ośrodkiem przedsięwzięcia, a w następstwie okazał się bardzo utalentowanym współredaktorem i zdolnym organizatorem reportażu. Różne stanowiska zajmowali sanacyjny działacz „Władysław“ i były falangista „Zbigniew“. Wreszcie zgodzono się na „Ajencję“ (nie „Agencję“, jak niektórzy proponowali). Redakcja pracowała zespołowo i jej sekretarka, bardzo inteligentna, delikatna, pełna wdzięku studentka „Jadwiga“ — w rzeczywistości Halina — starała się godzić wybujałe temperamenty redaktorów. Ich pracę kontrolował komitet redakcyjny z „Wiktorem“ na czele. Na jego kunktatorstwo gorzko skarżył się czasem „Malarz“.

W owym czasie znowu zmieniałam mieszkanie. Niemcy usuwali Polaków z Alei Szucha, a mnie właśnie w połowie października z paru miejsc proponowano zajęcie opuszczonych mieszkań moich przyjaciół pochodzenia żydowskiego. Wkrótce wprowadziłam się wraz z panią Zofią Czarnocką do mieszkania przy Alei Niepodległości 132/136, skąd wyemigrowała koleżanka dziennikarka (dr Karolina Beylin): wraz z rodziną przeniosła się pod Warszawę. W tym sporym mieszkaniu rozpoczęła się też praca redakcyjna, tu też udało mi się wkrótce ulokować upragnioną wypożyczalnię książek, która od roku 1941 rozpoczęła swe istnienie pod nazwą „Czytelnia u Przyjaciół“. Jej istnienie — to osobny, niebanalny rozdział z dziejów okupacyjnego życia Warszawy. Zdobywszy odpowiednie współniczki, przebrnąwszy przez trudności organizacyjne — otworzyłyśmy placówkę, która stała się skutecznym parawanem dla pracy podziemnej. Od czasu do czasu przenosiło się redakcję do innych lokali, potem znowu powracało się na Aleję Niepodległości, zwłaszcza gdy zamieszkałam w głębi za lokalem czytelnia, a nie blisko wejścia, jak to było początkowo.

Od początku do końca posługiwałam się w konspiracji moim imieniem jako pseudonimem. Jakoś to okazało się wygodne. Nie krępowało mnie, gdy do mego mieszkania, do „Czytelni u Przyjaciół“ przychodziły różne osoby nazywając mnie po imieniu. Co do innych współtowarzyszy i współtowarzyszek pracy, to starałam się zawsze jak najmniej o nich wiedzieć, ograniczać swe kontakty z ludźmi w ogóle, a zachować w pamięci tylko najniezbędniejsze adresy „lokali“, „skrzynek“, pseudonimów szefów i łączniczek. Wiele z nich uszło mi z pamięci — a o wielu dowiedziałam się znacznie później, już po okupacji.

UKŁAD I TREŚĆ „AJENCJI“

O serwisie „Ajencji“ słów kilka. Rzadko zamieszczano artykuły wstępne. Zastępowały je krótkie apele, ważne zarządzenia lub wyjaśnienia sytuacji w kraju. Nie tracono miejsca na frazeologię, każdy wiersz wykorzystywano na wiadomości. Pierwsza część tekstu zawierała *Wiadomości krajowe*, zgrupowane pod małymi tytułikami, lub króciutkie, tylko wyróżnione akapitem. *Wiadomości zagraniczne* obejmowały *Położenie wojskowe*, omawiające wydarzenia i sytuację na wszystkich frontach, wreszcie *Wiadomości polityczne*, będące przeglądem zdarzeń w świecie, dawały orientację i pogląd na toczące się wypadki. Dział *Położenie wojskowe* był opracowywany przez fachowców wojskowych i nie wiem, oczywiście, kto te analizy pisał. *Położenie polityczne* było pisane, przynajmniej przez dłuższy okres, przez jednego z wytrawnych dziennikarzy, bardzo interesująco pod względem publicystycznym, jasno, na doskonałym poziomie.

Głównym dostawcą materiału do wiadomości krajowych był „Malarz“, który miał mnóstwo kontaktów, dwoił się i troił i okazał się bardzo zdolnym reporterem. Z drobnych notatek, często nagryzmołonych nieczytelnie, „Jadwiga“ umiała zeszyć „Ajencję“ w całość. W numerach pisma można by znaleźć dużo wiadomości o ówczesnych akcjach bojowych, o partyzantce, o aresztowaniach i łapanekach niemieckich, o zarządzeniach gospodarczych i policyjnych, zmierzających do sterroryzowania obywateli, o sposobach bojkotowania tych zarządzeń, o dyrektywach władz podziemnych. Wyszło ogółem ponad 100 numerów. Z reguły opracowywaliśmy numery dwa razy w tygodniu, były jednak okresy zwiększonego nasilenia akcji i wychodziło po trzy numery w tygodniu. Rzadko zdarzało się, że ograniczaliśmy się do 1 numeru tygodniowo, zależnie od decyzji władz i komitetu redakcyjnego. Wysokość nakładu nie była mi znana — musiała sięgać od 100 do 200 egzemplarzy. Wydawnictwo docierało dość daleko i szeroko. Przewoziła je młodzież, przewozili bardzo gorliwie kolejarze, co zapewniało szybki i dość regularny kolportaż na prowincję.

Jeden numer „Ajencji“ obejmował przeciętnie 12 stron powielanego druku, na białych kartkach kopiowych, formatu znormalizowanego. Nie było mniejszej objętości jak 8 stron ani większej niż 16, a to ze względu na łatwiejsze kolportowanie. Do przepisywania na woskówkach używano się maszyn o możliwie drobnym kroju liter. Powielanie odbywało się w drukarni, mieszczącej się naprzód na ul. Nowogrodzkiej między Krucczą a Marszałkowską, po stronie nieparzystej, pod firmą „Drukarnia Społeczna“. Byłam tam raz czy dwa razy na spotkaniu z „Malarzem“. Gdy wchodziłam, imitując klientkę, byłam bardzo ostrożnie, niemal podejrzliwie przyjmowana. Zapamiętałam wygląd właściciela, drukarza, bladego,

drobnego człowieka, jakiego określa się nieładnie „chuderlawy“. Jego siostra, postawna brunetka, robiła wrażenie bardzo energicznej i dzielnej. Następnie drukarnia przeniosła się w Aleje Jerozolimskie, dokądś w pobliże Marszałkowskiej. Tego lokalu nie znałam, podobno był większy i bardzo intensywnie służył organizacjom podziemnym. „Malarz“ nazywał jej właściciela „dobroczyńcą“, a nawet „zbawicielem“, z powodu oddanych usług: zawsze ratował w potrzebie.

LOKALE REDAKCYJNE

Jak wspomniałam, pisanie każdego numeru „Ajencji“ odbywało się początkowo w moim nowym mieszkaniu, Al. Niepodległości 132/136 m. 43, na I piętrze. Pokoik, jaki wtedy zajmowałam, był mały, bywało nas zwykle 4 osoby. Kolejno dyktowali mi wszyscy, przy okazji jeszcze dyskutując, czasami spierając się. Trzeba było pracować jak najspieszniej, a pisanie na woskówkach było zbyt ciężkie na moje siły. Potem z popołudnia przerzuciliśmy robotę na wcześniejsze godziny. Dopóki nie rozkręcił się ruch czytelników w zorganizowanej w tym mieszkaniu „Czytelnia u Przyjaciół“ — wszystko szło dobrze. Wkrótce jednak moje współpracownicy zaniepokoiły się stukaniem maszyny, dochodzącym z mego pokoju. Mogły domyślać się, co się tam pisze... ale nie trzeba było, by domyślali się obcy — trzeba było szukać bezpieczniejszego miejsca. Nie przedstawiało to wówczas wielkich trudności. Ofiarność była olbrzymia: ludzie użyczyli swych mieszkań na cele konspiracji chętnie i życzliwie. Przez dłuższy czas korzystaliśmy na przykład z mieszkania w oficynie na ul. Kruczej 5. Była to jedna z typowych warszawskich kamienic-studni. Mieszkanie na 2 piętrze, ogromne, pełne zakamarków, pozastawiane meblami tworzącymi jakieś korytarzyki, dzielącymi pokoje na komórki, tworzyło dziwny labirynt, nieskładny „bałagan“. Przy wejściu trzeba było zapytać: „Czy tu jest szafa do sprzedania?“ Ponieważ coraz to kto inny drzwi otwierał, zawsze trzeba było to pytanie powtarzać. Właściwymi gospodyniami tego cudacznego lokalu były dwie siostry, artystki malarzki (nazwiska nie znam), osoby w średnim wieku, ale mam wrażenie, że panią domu była naprawdę stara mrukliwa służąca, gderliwa i totumfacka. Często zastawałam malarzki przy obieraniu ziemniaków lub przy płycie kuchennej. Mieszkanie ponad wszelką wątpliwość gościło coraz to zmieniających się gości — konspiratorów. Wyłaniały się nieraz w korytarzykach lub w drzwiach do kuchni postacie zmęczonych, utrudzonych ludzi.

Schodziliśmy się w małym pokoiku od podwórza, „Malarz“, „Władysław“, „Jadwiga“ i nieraz przychodziły łączniczki — „Mysz“ i „Marta“.

Wszystko byłoby tu cudowne, gdyby nie straszliwe zimno w nieopalanym mieszkaniu. Druga zima okupacyjna była niemal tak sroga jak pierwsza. Pisanie przez kilka godzin było prawdziwą męką. Nie zdejmowałyśmy, naturalnie, palt i futer, ale w rękawiczkach pisać nie mogłam . . . kładziono mi jakiś koc na nogi, jednak ręce były zgrabiałe i głowa bolała. Ale jakoś wytrzymaliśmy, i to nie chorując. Tylko nasza kochana, urocza, a może jeszcze bardziej stalowa z charakteru „Marta“ — Zdzisława Paprocka, która przez kilka miesięcy mieszkała i sypiała w tym pokoiku, nie tylko odmroziła ręce i nogi, lecz nabawiła się ciężkiej choroby nerek. Była to studentka, wysoka, pełna wdzięku blondynka — z powodu swego pięknego usposobienia i szlachetnej postawy — wielka moja sympatia. Druga z naszych ówczesnych łączniczek, także studentka, „Mysz“ — Maria Włodarska, kontrastowa z urody z „Martą“ brunetka o szafirowych oczach i bujnych włosach, nadzwyczaj poważna i sumienna w pracy. Nigdy nie zapomnę jej posągowej sylwetki, jakiegoś wyjątkowego piękna, które w tej młodej dziewczynie tkwiło.

Dorywczo pracowaliśmy także w mieszkaniu znajomych „Malarza“, znanych obywateli Warszawy, pp. Hiszpańskich, przy ul. Narbutta. Kilka razy znaleźliśmy też „lokal“ u mojej bardzo dzielnej koleżanki redakcyjnej i współpracownicy w „Czytelni u Przyjaciół“ — ul. Szustra (dziś Jarosława Dąbrowskiego) nr 44. Stasia Syruczkowa w czasie okupacji gościła w tym swoim mieszkaniu nieprzeliczone gromady znajomych i nieznanym osobom potrzebujących schronienia. Pracowałam też w mieszkaniu profesorki dr E. na ul. Naruszewicza. Ale wolno mi było (ze względu na sąsiadów) przychodzić tylko samej, praca więc szła powoli i opornie, bo musiałam odpisywać z notatek, zamiast pisać pod dyktando. Pokój był także bardzo zimny. Gdy już w mieszkaniu na Al. Niepodległości udało mi się porobić zmiany i przenieść się do pokoju w głębi mieszkania, poza magazynem czytelni, wróciliśmy tutaj. Zawsze czułam się dobrze na własnych śmieciach i chętnie użyczałam swego pokoju na naszą konspiracyjną pracę.

KOLPORTAŻ

Ponieważ praca „Ajencji“ rozwijała się dobrze i widocznie liczba odbiorców w kraju rosła, wzrastały też potrzeby naszego kolportażu. Nasi redaktorzy znajdowali niemało chętnych ryzykantów, którzy wozili serwis na prowincję. Zasilaliśmy prasę w kraju — ale w Warszawie w tym momencie trudno jakoś było o kolportaż — całe masy dziewcząt już były do tej pracy wciągnięte i nie należało tych kadr zanadto powiększać. Więc też i mnie proszono o pomoc. Naturalnie zgodziłam się — ale do-

piero w praktyce okazało się, że kursowanie po mieście przez cały dzień było na moje siły dość ciężkie. Nie tylko dlatego, że nie byłam młoda, lecz w owym czasie bardzo niedożywiona, i moje ongi doskonałe kwalifikacje turystyczne i duża wytrzymałość gdzieś się podziały.

Zawsze w dniu poprzedzającym kolportaż umawiano się co do dokładnej godziny spotkania wczesnym rankiem w lokalu magazynu „Naszej Księgarni“ przy ul. Foksal 11, na parterze. Musieliśmy zjawiać się przed przyjściem pracownicy magazynu, więc przed godz. 8 rano, a przy tym nie zwracać uwagi lokatorów domu i zwłaszcza dozorcę, podejrzanego o konszachty z gestapo — może niesłusznie. Zawsze siedział w swej łoży w sieni i obserwował przychodzących. W każdym razie nie należało go ani wtajemniczać, ani narażać na ewentualne represje policji. Więc przemykaliśmy się pojedynczo i bardzo punktualnie — wyjątkowo zdarzyło się, że z powodu jakiejś przeszkody opóźniło się nadejście klucza do drzwi magazynu i w parę osób musieliśmy kręcić się pod drzwiami i na schodach. Kolporterkom wręczano przygotowane paczki z poleceniem dostarczenia ich. Adresy były już uprzednio ustalone i nauczyliśmy się ich w kolejności na pamięć.

Ja miałam punkty rozrzucone w śródmieściu i na Żoliborzu — roznoszenie trwało do wieczora, bo starałam się przeważnie chodzić pieszo, w ostateczności dopiero jechać tramwajem. Było to zresztą dość interesujące ze względu na różnorodność osób, które musiałam odwiedzić: na ul. Brackiej 2 — student, na ul. Hortensji (dziś Górskiego) — lekarka w średnim wieku, sympatyczna pani; w wielkiej spółdzielni mieszkaniowej, dziś wojskowej, róg Chałubińskiego i Al. Niepodległości — administrator domu, inwalida. Tu zawsze było jakieś ryzyko, bo przekazywanie paczki odbywało się w biurze administracji domu i rzadko zdarzał się moment, by administrator był sam w pokoju. Wreszcie któregoś dnia zastałam biuro zamknięte — a z miny dozorcę wywnioskowałam, że stało się coś niedobrego. Istotnie, „było gestapo“, kilka osób oraz administrator było aresztowanych.

Na ul. Filtrowej, blisko placu Narutowicza, na wysokich piętach, w pokoiku pod dachami wręczałam paczkę „Ajencji“ studentowi o wyglądzie z opery *Cyganeria*. Był to podobno jeden z najlepszych kolporterów na wieś i organizator kolejarzkiej sieci kolportażowej. Potem na Żoliborz. Do tej i do tamtej willi — tu żona oficera, tam w spółdzielni WSM — mieszkanie Adama Próchnika. Minuta w tym ubogim, zarzuconym książkami mieszkaniu była jakby wejściem w świat dobra i spokoju — tak ujmujący był jego gospodarz. Niekiedy także droga wiodła na Saską Kępe, w domu przy ul. Walecznych obrosłym gęsto dziką winoroślą zastawałam młodą żonę dziennikarza (Józefa Białasiewicza). Otrzymawszy serwis, zabierała zaraz maleńką córeczkę do wózka, pod

materacyk wsuwała nielegalne papierki i jechała... na spacer, aby doręczyć pocztę dalej. Bywałam także na Mokotowskiej, tu odbierał paczkę młody mężczyzna, kontaktujący się z redakcją „Pługa i Miecza“.

Wszystkie te wędrówki, dwa razy tygodniowo, odbywały się poważnie w słotne dni jesienne. Bywałam i znużona, i głodna, trzeba było unikać kawiarni, ubranie i obuwie było nie najlepsze — nigdy jednak nie miałam jakiegś niebezpiecznej przemywania. Łączniczki w bardzo różny sposób przenosiły kolportowany materiał: w torbach gospodarskich pod sprawunkami, jarzynami itp., w eleganckich torebkach z podwójnym dnem, w kieszeni pałta, w rękawie, za bluzką na biuście... Ja kupowałam wtedy obmierzłe „Warschauer Zeitung“, czasem „Das Reich“, wsuwałam egzemplarze „Ajencji“ między stronicę gazety i trzymając ją w rękę szłam, wydawało mi się, bezpiecznie po mieście. W razie zagrożenia łatwo byłoby wyrzucić ładunek. Były to jedyne momenty, kiedy można mnie było spotkać na ulicy z niemiecką gazetą w rękę.

STRATY I OCALENIE

W lecie 1941 roku pracowaliśmy normalnie, pod koniec przenieśliśmy z jakichś powodów „lokal“ na ul. Świętokrzyską, w pobliżu Mazowieckiej, do mieszkania rodziców „Myszy“ — Włodarskich. Ojciec, działacz lewicowy, dyrektor księgarni Nauczycielskiej „Nasza Księgarnia“ — znany mi też ze spotkań w Komitecie I Wystawy Dziecka w Warszawie, matka — urodziwa, sympatyczna osoba, jeszcze w żałobie po zgonie młodego syna, miała wkrótce także zaznać ciężkiej, okrutnej straty córki. W tym czasie „Mysz“ była już zaręczona, wszystko zapowiadało się szczęśliwie. Pracowaliśmy wtedy we dwoje z „Malarzem“, który sam już prowadził pracę redakcyjną. W połowie września, w piękny słoneczny dzień wyszedł około godz. 18 z ul. Świętokrzyskiej po kilku godzinach wspólnej pracy, niosąc w rulonie zapisane przeze mnie woskówki — wprost do drukarni w Alejach Jerozolimskich. Już gospodarowało tam gestapo i u wejścia zatrzymało „Malarza“. Jakim sposobem bronił się, jak potrafił w więzieniu odgrywać komedię, a nikogo i niczego nie zdradzić — o tym już pisał sam (Stanisław Miedza-Tomaszewski) po okupacji. Nie będę więc tu przytaczała tej niezwyklej historii, którą mi zresztą opowiadał osobiście w późniejszym czasie. W napadzie niemieckim na drukarnię zginął nieodżałowany „Dobroczyńca“ drukarz, jego siostra była aresztowana, lecz ocalała.

O aresztowaniu „Malarza“ dowiedziałam się tego samego wieczora: zapukała do mnie „Mysz“ uprzedzając, że przynosi polecenie, bym wyjechała z Warszawy. Mimo że bardzo poruszyła mnie wiadomość o „Ma-

larzu“, nie odczuwałam niebezpieczeństwa. Wyjeżdżać — wydawało mi się zbyt bezpieczne. Nie wiem, czy tak wierzyłam w charakter „Malarza“, czy miałam jakieś trafne wyczucie sytuacji. Wymawiałam się od wyjazdu. Ale nazajutrz „Mysz“ przyniosła mi powtórny i kategoryczny rozkaz opuszczenia Warszawy. Pamiętam jej głębokie ciemne oczy, kiedy szep-tem, w słabo oświetlonym pokoju tłumaczyła mi, że chodzi nie tylko o moje osobiste bezpieczeństwo, lecz o sprawę organizacji. Nie można nigdy przewidzieć, jaki obrót może mieć śledztwo i czy człowiek nie załamie się podczas badań. Może to wtedy po raz ostatni widziałam kochaną „Mysz“. Po pewnym czasie została przesunięta z „Ajencji“ do innej komórki i jako wykonawczyni jakiegoś polecenia została schwytana, osadzona na Pawiaku, podobnie jak jej młody mąż. W więzieniu urodziła dziecko — przedłużyło jej to życie i udreki o kilka miesięcy. Podobno przewieziona została do więzienia w Radomiu i tam po pewnym czasie rozstrzelana. Z głębokim żalem wspominali ją wszyscy towarzysze i przyjaciele, którzy ją znali — dzielnego, prawego, pięknego człowieka. Tragiczny obraz Marii powraca do mnie w pełnej krasie jej młodej postaci.

Straty w szeregach podziemnych były w owym czasie czymś, co z góry było przyjmowane jako nieunikniona konieczność. Czasy były okrutne, potworne; w świadomości naszej ofiary wśród towarzyszy pracy — jakby zaakceptowane. Za każdym razem, gdy się zdarzały, przejmowały przerażeniem i nasuwały myśl, że tylko trafem tym razem ominęły mnie właśnie, że będzie to innym razem. Nie można było za wiele o tym myśleć. Żal z powodu poległych ustępował przed świadomością, że mają oni następców, którzy podejmą ich trud z niezachwianą pewnością ostatecznego zwycięstwa. Szeregi podziemne rosły, zamiast maleć, robota rozwijała się mimo wszelkich strat. Władze nasze i wszyscy w służbie robili, co mogli, by zabezpieczyć ludzi i lokale, warsztaty pracy, już szeroko rozbudowane, aby uniknąć ciężkich wstrząsów, jakie wywoływała każda „wpadka“. Wbrew jednak pospolitej logice, każde nieszczęście z ludźmi, każda przerwa w pracy podziemnej, każda strata materialna — a bywały przecież duże — wywoływała raczej wzmożenie sił oporu niż ich depresję. Nowe sposoby, nowe środki ostrożności wobec prowokacji i prześladowania, nowe pomysły występowały po dniach kryzysu. Krwawe rozgrywki z tropiącym Polaków gestapo toczyli niejednokrotnie drukarze i dziennikarze, walcząc do końca z determinacją. O rozprawach takich krążyły tylko głuche wieści, i to w kole najbliższych, bo starano się nie rozpowszechniać złych wiadomości¹⁰. O wielu stratach dowiedzia-łam się dopiero znacznie później, już po okupacji.

¹⁰ O jednej ciężkiej przeprawie, w drukarni na Mazowieckiej 9 lub 11, skąd

Po nakazie szefostwa wyjechałam niezwłocznie z Warszawy — moje współpracownicy z czytelnicy najserdeczniej mnie wyekspediowały, rozumiejąc w pełni sytuację. Po krótkim namyśle mając fałszywy dowód osobisty (na nazwisko Elżbiety Złotnickiej, urodzonej w Horoszowie, w woj. tarnopolskim, wówczas za granicą GG), zaryzykowałam drogę do Radości, do mej koleżanki Kazimiery Muszałówny. Przyjęła mnie życzliwie, ale nie bez zakłopotania, wynikającego z faktu, że sama była też zaangażowana w inną akcję konspiracyjną. Przebyłam jednak tydzień pod jej dachem w spokoju. Następnie za pośrednictwem Kazi przedostałam się do Milanówka, do mojej dobrej przyjaciółki Marii M. S. I tu sytuacja była podobna, tyle że dom był duży i gęsto zamieszkały. Byłam oczywiście w nadmiarze... ale jakoś przetrwałam te dni. Najgorsza była dla mnie bezczynność. Czytałam Zolę z biblioteki przyjaciół. Dla ruchu chętnie pracowałam w ogrodzie przy jesiennych zbiorach.

KONIEC „AJENCJI“

Wreszcie doczekałam się — po jakich 4 tygodniach od wyjazdu z Warszawy nadeszła pocztówka od przyjaciółki Marii G. z dowcipną wiadomością wtrąconą w zdawkową treść: „Malarze dobrze się spisali. Mieszkanie odnowione“. Więc mogę wracać. „Malarz“ umknął niebezpieczeństwa i wszystko w porządku. Tak było istotnie. Witałam z radością „swoje“ kąty, pracę w czytelnicy i w „Ajencji“. Tutaj jednakże już nie było „Malarza“ — redakcję objął „Lenart“. Niestety, nie odznaczał się talentem dziennikarskim, był oddanym pracownikiem, ale raczej urzędnikiem mało inteligentnym¹¹. W dobrej harmonii pracowałyśmy z nim, z „Jadwi-

gestapo w południe wyprowadziło drukarzy — następnie straconych — opowiadała mi „Ewa“, która wprawdzie nie była już naszą łączniczką, odkomenderowana do innej komórki, lecz czasami widywała się ze mną, zachowując dla mnie wiele przyjaźni. Od niej też miałam dokładną relację z bardzo fortunego tym razem wymknięcia się innej drukarni dosłownie ze szponów gestapo w willi na ul. Morszyńskiej 2, na Sadybie Czerniakowskiej. Najazd niemiecki odbył się podczas nieobecności lokatorów — duże eleganckie mieszkanie, które miało kryć drukarnię zamurowaną w piwnicy, zostało zrabowane i zniszczone. W nocy, a raczej nad ranem, pracownicy drukarni weszli do zakonspirowanej części domu. Z nie wykrytej przez Niemców drukarni zabrali ciężki ładunek czcionek i niektórych przyborów drukarskich, które można było szybko przenieść — i zdołali umknąć z tym przed powtórny nalot wroga.

¹¹ Informacja od innych osób: „Lenart“ pod pseudonimem „Fischer“ kierował m.in. drukarnią konspiracyjną. Nazwisko jego było Goldman, imienia nie mogłam się dowiedzieć. Z zawodu był nauczycielem, łacinnikiem. Zmarł na gruźlicę, zdaje się już po okupacji.

gą“, ale nie było już ani tego rozpedu w pracy, ani tej atmosfery co dawniej. Pismo wyraźnie podupadło pod względem treści i ilości informacji. Około Nowego Roku „Ajencja“ decyzją władz została zlikwidowana.

POWRÓT DO „DZIENNIKA RADIOWEGO“

Po zamknięciu „Ajencji Prasowej“ w samym końcu roku 1941 lub na początku 1942 zawiadomiono mnie, że będzie u mnie nowy szef prasowy, aby ustalić ze mną sprawy redagowania „Dziennika“. Powrót mój do tej funkcji cieszył mnie perspektywą intensywnej pracy i dawał mi pewne zadośćuczynienie moralne za poprzednie odsunięcie. Widocznie zachowano pamięć o mojej dobrej pracy. Jak był redagowany „Dziennik Radiowy“ po moim odejściu i jak wyglądał wówczas, kiedy pracowałam w innych komórkach, nie wiem, gdyż egzemplarze „Dziennika“ nie docierały do mnie.

Tak więc pewnego zimowego dnia w południe zjawił się u mnie zapowiedziany przez łączniczkę nowy szef prasowy. Pseudonim „Gryficz“ nic nie mówił, a twarzy znanej mi przecież z jego sporadycznych odwiedzin w redakcji na Marszałkowskiej nie pamiętałam. Zresztą przychodził wówczas do redakcji świetny oficer, elegancki, błyskotliwy w rozmowie, późniejszy starosta powiatu warszawskiego. Teraz był to pan w średnim wieku o dobrej postawie, bardzo starannie ubrany w rodzaj dawniej popularnego ciemno krytego kożuszka z małym kołnierzykiem z ciemnopopielatego baranka. Dyskretna elegancja, dość rzadka w owych czasach, cechowała nowego szefa także w jego rozmowach i postępowaniu, nie ujmując niczego z surowości jego wymagań w służbie, z poczucia słuszności i bardzo ścisłego przestrzegania zobowiązań. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałam się jego nazwiska — był to Tadeusz Wardejń-Zagórski, zmienił następnie pseudonim na „Gozdawa“, a w czasie Powstania Warszawskiego znany był jako „major Gromski“.

Pierwsza rozmowa z nowym szefem od razu napełniła mnie zaufaniem, że jest to człowiek kompetenty, bardzo wymagający i dbały o wysoki poziom pracy. W krótkim czasie szef postarał się o ulepszenie naszego warsztatu pracy o dobrą maszynę do pisania z drobną czcionką. Dano rutynowaną maszynistkę, która pisała pod dyktando. Dostarczył mi dobre atlasy, potrzebne przybory do pomiarów map, a przede wszystkim zreorganizował nasłuch radiowe, przechodząc niebawem z systemu odbioru „fonicznego“, zależnego od warunków atmosferycznych i wyrobienia odbierającego, od jego znajomości języków obcych itp. na system odbioru Morse'a, a więc pojedynczych znaków literowych. Umożliwiło to dokładny odbiór bez względu na język,

a ewentualne zniekształcenia były zawsze mniejsze. Do nasłuchu wprowadzono doskonałych specjalistów, m.in. dawnych pracowników agencji PAT. Otrzymywałam obecnie bardzo dobre teksty, w dużej stosunkowo ilości, co najmniej w dwu wersjach. Praca stała się niewątpliwie lepsza, ciekawsza dla mnie, a dająca dokładniejsze informacje naszym sztabom, Delegaturze Rządu i BIP-owi. Nie znaczy to, by praca stała się łatwiejsza: musiała być bardzo dokładna i wykonana szybko.

Po powrocie do redagowania „Dziennika Radiowego“ pracowałam u siebie w domu i tu przyniesiono dużą maszynę do pisania i tu przychodziła wczesną rano „Aniela“, bardzo dzielna maszynistka, która potrafiła napisać nawet 14 egzemplarzy na bibułkach. Jednak praktyczniejsze okazało się pisanie na woskówkach, które potem wędrowały do „powielarni“¹². Zabierała je łączniczka, najczęściej „Kasia“, czasem „Honorca“, nasłuch przyносиły z rana „Kasia“, „Zofia“, czasem i „Monika“, a w ostatnich miesiącach przed Powstaniem „Hania“, ładna, spokojna blondynka. Nic dziś o tych miłych dziewczętach nie wiem. Nazwiska ich były mi i wówczas nieznane. Słyszałam, że prawie wszystkie były wywiezione przez Niemców po Powstaniu. Sympatyczna bardzo „Aniela“, niezwykle pracowita, nie mogła w żaden sposób przyswoić sobie nazw obcych i choćby co dzień po kilka razy powtarzające się nazwiska takie, jak Churchill, czy miasta, Angers czy Birmingham, musiałam jej za każdym razem dyktować po literze. Czasami traciłam cierpliwość, a potem było mi przykro, że uraziłam złą „Aniele“.

NOWI ŻYCZLIWI LUDZIE

Z zarządzenia szefa co pewien czas zmienialiśmy lokal i wtedy wędrowaliśmy po różnych kątach Warszawy i znowu powracaliśmy do mnie, w Aleję Niepodległości. Zapamiętałam niektóre „lokale“ z owej epoki. Jednym z najmiłszych było mieszkanie przy ul. Korzeniowskiego 8 na parterze, gdzie musiałyśmy przychodzić po wybiceniu godziny 8 rano, ani o minutę wcześniej. O tej bowiem godzinie wychodził z domu ojciec rodziny, widocznie pedantyczny urzędnik, nie wiedzący nic o tym, jak jego żona, jej siostra i 17-letni syn poczynają sobie za

¹² O „powielarni“ mam relacje od osób, które tam dość często bywały. Z redakcji klisze były przenoszone do „powielarni“, mieszczącej się w lokalach używanych ofiarne i zmienianych co tydzień, najrzadziej co dwa tygodnie — a w razie zagrożenia i częściej. Niebezpieczeństwo było tu duże: przyrzędy, zapasy papieru, powielarki i kursujące łączniczki z dużymi paczkami. Wszystko to mogło zwracać uwagę. Głównymi pracownicami w „powielarni“ były „Klara“ i „Renata“, zabierały materiał i odnosiły na „punkty“ — najczęściej „Kasia“, „Hania“, „Klara“ i „Renata“.

jego plecami. Ojciec był ostrożny i nigdy nie zgodziłby się na jakieś szaleństwa konspiracji — cała zaś reszta rodziny tkwiła w tej konspiracji na różne sposoby. Kobiety ułatwiały nam tu pracę swoją serdeczną zyczliwością. Były to gospodarne, energiczne niewiasty, typu kresowego, brunetki, żywe i mocne. Prowadziły maleńki sklepik, można rzec kramik spożywczy, przy ul. Grójeckiej — była to między innymi „skrzynka“ organizacyjna. Chłopiec, oczywiście, był w AK. Tylko tata nic o tym wszystkim nie śmiał wiedzieć. Sytuacja była raczej groteskowa... ale mało gdzie tak nam się dobrze pracowało, dzięki atmosferze dzielności, odwagi, przyjaźni.

„Redakcja“ nie była zresztą wygodna: maleńki salonik, zastawiony gratami. Na małym stoliku okrągłym stała lampa — była zima, poranki ciemne w parterowym mieszkaniu — mogłam obok umieścić co najwyżej kartki z nasłuchem, ale wielki atlas, na którym sprawdzałam punkty frontów, musiałam trzymać na kolanach, robiąc notatki niemal w powietrzu. Do tej samej lampy przysunięta blisko z maszyną do pisania „Aniela“... Mimo to z żalem przenosiłyśmy się z tego lokalu gdzie indziej. Pamiętam np., że na ul. Fałata w gmachu wielkiej spółdzielni mieszkaniowej skierowano nas do starszych ludzi, którzy formalnie trzęśli się ze strachu, widząc nas i nasze poczynania, co nam także po-działało na nerwy — i po jednym lub dwu seansach rozstałyśmy się z tymi gospodarzami.

Długo i dobrze pracowało się w pięknym, rozległym mieszkaniu przy ul. Rakowieckiej 41a, na 3 czy 4 piętrze, u aptekarza Loevensteina. (Apteka mieściła się niemal naprzeciwko rogu.) Rodzina była wyjątkowo sympatyczna — pani Maria z Plewków, śliczna, młoda mimo siwych włosów; dwu synów, jeden już kilkunastoletni młodzieniec z zamiłowaniem do nauk ścisłych, drugi jeszcze mały, może 8-letni piśszczoszek mamy, ale nie rozpieszczony, samodzielny, wybitnie inteligentny dzieciak z zarysowującym się już charakterem. W czasie naszej „kadencji“ w tym domu pani Loevensteinowa nagle owdowiała. Mąż dostał ataku serca i nie udało się go uratować. Wykazała w tych ciężkich momentach bardzo wiele dzielności — w naszych wizytach na Rakowieckiej nic się nie zmieniło, pracowałyśmy tam przez czas dłuższy. Z wysoko położonych okien obszernej jadalni było widać tereny ćwiczeń niemieckich w pobliżu osławionej Staufer-Kaserne.

Jeszcze bliżej tej twierdzy hitlerowskiej pracowałyśmy także u ludzi życzliwych i odważnych, w mieszkaniu parterowym przy ul. Kazimierzowskiej 79. Tu wprost okna, od którego niedaleko siedziałyśmy przy stoliku, obserwować można było kręcących się bez przerwy ciurów z Staufer-Kaserne, noszących wodę i zapasy, szoferów i ciężarówki, maszerujące i śpiewające oddziały żołnierzy. Oswoiłyśmy się z tym wido-

kiem, a oni nie mogli domyślać się, co tam się robi za firanką w pokoiku uchodźców z Poznania (być może przebywających za fałszywymi dowodami). Pan wychodził zwykle już po naszym przyjeździe do jakiegoś swojego biura, pani zaczynała pracę w kuchence. Byli to ludzie spokojni, kulturalni, bardzo odważni. Krótkie, okolicznościowe rozmowy z nimi dały nam poznać ich z najlepszej strony. Wówczas nazywali się Wierzbiccy.

Trafiały się i niespodziewane spotkania, jak np. na ul. Orlej 7, gdzie w otwierającej nam drzwi pani domu poznałam żonę Kazimierza Sieroszewskiego (zmarłego już po okupacji), najmłodszego syna pisarza. W tym mieszkaniu niedługo mogłyśmy pracować. Ulica — w dawnej dzielnicy żydowskiej, była bardzo opustoszała, a w bramach często wartowały podejrzanе postacie szpiegów. Trudno było przejść nie zwracając na siebie uwagi. Przez pewien czas gościła mnie „Nika“ na ul. Kaliskiej 17, rosła, wysportowana kobieta z dorastającą córką. Pisała sama na maszynie, jedynie więc łączniczka oprócz mnie zaglądała do jej mieszkania. Nie trwało to długo, wkrótce współpracę objęła „Zuzanna“ — Wanda Ryglowa, i z nią, i w jej mieszkaniu, przy ul. Niemcewicza 9 w olbrzymim gmachu ZUS, pracowałam przez dłuższy czas. Pisanie na maszynie było dla „Zuzanny“ na pewno dużym poświęceniem i wysiłkiem, gdyż jej kwalifikacje umysłowe były znacznie wyższe, a siły wydawały się wątłe — jednak była to osoba niezwyklej energii, wielkiej odwagi, pełna poświęcenia. Nie było dla niej rzeczy niemożliwych, bardzo gorliwie pełniła różne potrzebne funkcje. Umiała docierać w razie potrzeby do zagrożonych komórek i do ludzi. Jedną z nieocenionych zasług „Zuzanny“ było, do spółki z „Gigą“ — Wandą Wardejń-Zagórską, żoną naszego szefa — administrującą wielu sprawami prasowymi, wynajdywanie lokali na pracę konspiracyjną. W jaki sposób te z biegiem lat coraz trudniejsze pozycje były zdobywane przez nasze opiekunki — nie umiem sobie nawet wyobrazić. Mnie się coś takiego tylko rzadko udawało. One zawsze umiały jak spod ziemi wydobyć niezbędny lokal. Pani „Giga“ była interesującą osobą, bardzo przystojną, wytworna, nawet w najcięższych okolicznościach nie rezygnowała z eleganckiego wyglądu. Niezwykle sumienna, dokładna w pracy; można było na nią liczyć bezwzględnie. Nieraz zjawiała się w naszej Czytelni z polecenia szefa — brała udział w tzw. odprawach, które on odbywał co pewien czas z nami i z najbliższymi nam komórkami.

ODPRAWA W PRACOWNI OBUWIA

Jak już wspomniałam, szef „Gryficz-Gozdawa“ był bardzo wymagający, rzadko jednak miał mi do zrobienia jakąś uwagę. Bardzo ściśle

kontrolował zawartość serwisu „Dziennika Radiowego“ i jakieś uchybienie, np. w odmierzaniu odległości na mapie, nie uszłoby jego uwagi. Nasze „odprawy“ odbyły się raz bodaj w mieszkaniu pani Zofii Żeleńskiej (Boyowej) na Krakowskim Przedmieściu, ogromnym lokalu, wyglądającym jak skład mebli — parę razy zaś u „Wiktora“, w pobliżu mego mieszkania, na ul. Madalińskiego 42. Była to spółdzielnia mieszkaniowa, wielkie gmaszysko, pełne ludzi, schodów i zakamarków. Ten drugi „Wiktor“ — Jerzy Merson, były lotnik i dziennikarz, bardzo pożytecznie pracował jako odbiorca nasłuchów radiowych i tłumacz oraz publicysta. Nerwowy, gaduła, dowcipny, żywy — w typie miał coś z artystycznego cygana, był beztroski i zuchwały wobec niebezpieczeństw. Żona jego, artystka plastyczka, założyła w ich mieszkaniu pracownię obuwia, wówczas z konieczności „modnego“ — były to pantofle ze sznurka, z drewna, z płótna itp., które urozmaicały różne „fantazje“ stosowane z powodu braku skóry. W pracowni zatrudnione były kolejno niektóre łączniczki organizacji; ruch na schodach, bo odwiedzały pracownię liczne klientki, osłaniał drogę konspiratorom. Nieprawdopodobny nieład, zamęt, typowy „bałagan“ panujący w tej pracowni byłby niewątpliwie zmylił poszlaki, gdyby tu weszli hitlerowcy. Jakoś nie weszli... Nasze odprawy odbyły się bezpiecznie, w dobrym nastroju.

Praca szła w tych latach naprawdę jak w zegarku. Osobiście zawsze odnosiłam się z uznaniem do kierownictwa „Gozdawy“, lecz z nieufnością do zbytniego, jak sądziłam, zamiłowania do biurokracji. Jakoś szczęśliwie te jego raporty, rachunki, sprawozdania, rejestry, jakie kazał prowadzić, nie wpadły w ręce wroga. Były to spisy bardzo dekonspirujące ludzi i pracę. Na odprawach zetknęłam się także z ludźmi z naszego nasłuchu. Poznałam bliżej szczegóły i warunki ich ciężkiej służby. Pracowali w lokalach zabezpieczających nasłuch, więc bardzo ukrytych w jakichś komórkach, piwnicach, kryjówkach pod schodami itp. Ze znanych mi, np. w willach przy ul. Odolańskiej na Mokotowie, m.in. Odolańska 42 u pułkownikowej Wolszlegerowej, której mąż był w tzw. oflagu — oficerskim obozie jenieckim. Tam była kryjówka „Boryny“ i innych, między strychem a schodami, tak ciasna, że radiowiec musiał notować odbiór trzymając notatnik na kolanach i nie mogąc wyprostować karku. Wytrzymać kilka godzin w takiej pozycji nie było łatwo. Z „Boryną“ współpracował „Maryn“, którego nie znałam. Bywały też różne okolicznościowe nasłuchy w tym czasie, jak np. od wspomnianego już „Wiktora“, od „Ikaca“ — inż. Kazimierza Czarneckiego, lub innych.

OPINIA BIP

Przytoczę tu znacznie później ogłoszoną opinię władz BIP-u o naszej pracy. W artykule, który ukazał się w poważnym czasopiśmie naukowym w r. 1957 i zawiera polemikę w sprawie Powstania Warszawskiego, Jan Rzepecki ubocznie omawia działalność swego współpracownika w BIP-ie na polu obsługi informacyjno-radiowej w latach 1941—1944 i m.in. pisze:

„Najpilniejsze było wówczas uporządkowanie i reorganizacja obsługi informacyjno-radiowej. Dzięki energii Zagórskiego zaczęliśmy wkrótce z wzorową regularnością i punktualnością rozprowadzać około 200 egzemplarzy doskonale redagowanego »Dziennika Radiowego« i mieliśmy znakomicie zorganizowany odbiór nadawanych Morseem komunikatów Globe-Reutera. Materiał z tego odbioru, nie wyzyskany przez »Dziennik Radiowy«, przeistaczał Zagórski w serwis »Służba Reutera«, którym obsługiwał nasze warszawskie redakcje“.

(J. R z e p e c k i: *Na marginesie powstańczych dokumentów BIP*, „Kwartalnik Historyczny“, R. 64: 1957, nr 6, s. 89—101.)

Cytat pochodzi ze strony 92 „Kwartalnika“ i zawiera rzeczowe stwierdzenie, jak oceniana była praca redakcji „Dziennika Radiowego“ i użyteczność serwisu „Służby Reutera“, a więc moja praca dziennikarska, równorzędnie z uznaniem dla pracowników nasłuchu radiowego i dla zasług szefa Tadeusza Wardejna-Zagórskiego.

Nasz „Dziennik Radiowy“ okazywał się widocznie potrzebny i przydatny, bo górne władze miały coraz większe wymagania — aby miał jeszcze świeższe wiadomości, aby opracowywany był jeszcze wcześniej i dostarczany o świcie dnia itd. Nasz szef, w myśl tych żądań, zarządził generalną zmianę: redakcja miała być czynna nocą — a wobec istniejącej „godziny policyjnej“ praca nocna oznaczała zamknięcie zespołu od wieczora, od godziny 7 czy 8 (19—20), a nawet nieco wcześniej do godziny 5 rano. Zwiększało to nie tylko niebezpieczeństwo wynikające z gromadzenia ludzi przez szereg godzin razem — bez możliwości wymknięcia się na miasto — jak i trudności osobiste każdego i każdej z nas. Po raz pierwszy zaprotestowałam: nie będę mogła pracować w redakcji nocnej — i podałam swoje racje. Bliskie sąsiedztwo mego domu z willami na Odolańskiej ułatwiałoby obserwowanie moich ruchów — mogłoby zdekonspirować lokal. Dziwne musiałyby się wydać moja nieobecność w nocy i powroty o świcie. Naprzeciwko mojego mieszkania, drzwi w drzwi na tym samym piętrze mieszkają „volksdeutsche“. Ponadto praca nocna, do której nie byłam przyzwyczajona, byłaby tak wyczerpująca, że nie mogłabym w dzień pracować w czytelnicy. Szef był oczywiście bardzo niezadowolony. Uważał moje stano-

wisko za niesubordynację. Pierwszy raz usłyszałam gorzkie słowa z jego ust — gdy powiedziałam, że przyjąwszy na siebie nadmierne ciężary szybko się „wykończę“, odpowiedział, że w służbie z tym liczyć się nie należy. Nie byłam tego zdania co do gospodarki siłami ludzkimi, ale był to niewątpliwie pogląd wojskowy i na pewno świadczący o bezwzględnej ofiarności. W końcu szef oświadczył, że nie może mnie zmuszać i postanowił zastąpić mnie przez inne osoby. Z wielkim żalem rozstawałam się wkrótce potem z „Dziennikiem Radiowym“, nie czułam się jednak zdolna do prowadzenia redakcji w takich warunkach¹³. Szef w dalszym ciągu zachował zaufanie i powierzył mi opracowywanie nowego biuletynu pod nazwą „Służba Reutera“.

BIULETYN „SŁUŻBA REUTERA“

Był to serwis prasowy ukazujący się bez ściśle określonej daty, raz, dwa razy tygodniowo; zawierał obszerniejsze artykuły, komentarze polityczne, ciekawe korespondencje świetnych wysłanników z całego świata, artykuły ekonomiczne, kulturalne różnego typu i na różne tematy. Z dostarczanego mi tekstu angielskiego lub w innych językach miałam wybrać to, co było ważniejsze z punktu widzenia informacji politycznej, publicystyki międzynarodowej, mogącej interesować nasze władze wojskowe i polityczne. Wolno mi było robić skróty i cytować częściowo podane teksty. Z natury rzeczy spieszyłam się, aby jak najszybciej wyekspediować materiał, zresztą wszystko to, co dochodziło nas z szerokiego świata, było wówczas bardzo interesujące. Przegłądałam spory plik nasłuchów, zasiadałam do maszyny do pisania

¹³ O redakcji nocnej „Dziennika Radiowego“ miewałam już tylko relacje od pozostałych kolegów. Praca odbywała się na zmianę. Co drugi dzień w willi na Odolańskiej 42 lub na Żoliborzu, gdzie również mieściły się placówki nasłuchu. Na Odolańskiej warunki były trudne, na Żoliborzu nasłuch miał dobrze urządzone lokale. Tutaj — komórka między schodami a strychem niska, duszna, ciasna. Ludzie musieli zejść się wcześniej, jeszcze przed godziną policyjną, a wyjść mogli dopiero wczesnym rano. Odpoczynek na zmianę był możliwy na jakiejś jedynej kanapie. Nawet tak silna osoba jak „Nika“ nie wytrzymała tam długo. Mimo tych warunków nie było żadnej „wpadki“. Opowiadano mi o fałszywym alarmie, jaki zdarzył się pewnego razu o świcie, gdy przed willę na Odolańskiej 42 zajechali Niemcy i wdarli się do domu. Przyjechali jednak w zupełnie innych celach i domownicy ich nie obchodzili. Zależało im na wymuszeniu kolejnego okupu od piekarzy, którzy prowadzili w suterenie nielegalny wypiek... Podobno właścicielka willi uważała taką kombinację za doskonały fortel... Może i tak było. Ale dla pewności nasi redaktorzy i nasłuchowcy woleli powyskakiwać oknem do ogrodu i przez ogrodzenia sąsiednich ogródków willowych przedostali się szczęśliwie na ulicę Szustra (obecnie Jarosława Dąbrowskiego). Zakończyło się tylko przygodą.

i z miejsca tłumacząc pisałam, pisałam ... Wielkim plusem ówczesnej pracy było, że mogłam ją robić u siebie w domu. Przy tej robocie mijały tygodnie i miesiące — wypadki bieżyły naprzód.

ROK 1944

Poza Armią Krajową kierowaną przez Delegaturę Rządu z Londynu dynamicznie ujawniała swe burzliwe akcje Polska Partia Robotnicza — komuniści. Z oddali, z lasów, z niezmiierzonych obszarów wsi i miasteczek, dochodziły grzmoty walk partyzanckich, chłopskich bojów, dzikich represji okupanta, odwetowych napadów na instytucje niemieckie, oddziały i posterunki hitlerowskie. Nie wiedząc wiele o tym, co dzieje się w kraju, a nic właściwie o tym, co rozgrywa się w ośrodkach dyspozycyjnych w Warszawie i gdzie indziej, wyczuwało się nieomylnie zbliżające się momenty decydującej, ostatecznej rozprawy z wrogiem. Z zagranicznych informacji przeciekała też orientacja o całości zarysowujących się stosunków międzynarodowych. Mimo to bardzo słabo mogłam się orientować — wnioski moje musiały być kulawe. Jak wielu ludzi, zwłaszcza bezpartyjnych, sądziłam, że w obliczu rozstrzygającej walki z wrogiem wszystkie siły antyfaszystowskie zjednoczą się, że stronnictwa polityczne i grupy walczące na naszym terytorium znajdą wspólne słowo — że powstanie naprawdę jednolity front od Londynu po Moskwę.

Równocześnie rozchodzić się zaczęły wieści o krwawych rozgrywkach partyjnych w podziemiu, głuche i spóźnione wieści. W oficjalnej prasie Delegatury Rządu i BIP zarysowywały się kolejno rywalizacje między partiami, potępienie innych ugrupowań, zapowiedzi bezwzględniego zwalczania obozu komunistycznego. Oznaki walki przedostawały się na ulice — przybierały tragiczny wyraz — owe napisy piętnujące „zdradę“ przypominały najgorsze „potępieńcze swary“. Perspektywa porozumienia międzynarodowego odsuwała się coraz dalej. W końcu — jak dziś wiadomo — okazała się rzeczą niemożliwą w światowym układzie sił — a tym samym i w Polsce.

Na kilka miesięcy przed Powstaniem na jednej z odpraw czy też z „pocztą“ otrzymałam wskazówki co do możliwości przeniesienia komórek naszej pracy na prowincję do innych miast czy małych miasteczek w związku z sytuacją na froncie wschodnim. Być może, że były to zdrowe propozycje, nie zostały jednak wykonane, przynajmniej w szerszym zasięgu. Mówiło się, znacznie bliżej już terminu przypuszczalnej akcji zbrojnej, o wyznaczeniu każdemu z nas miejsca i przydziału — gdy jednak nadszedł termin, tylko niewiele osób rozkaz taki otrzymało.

Do mnie, mimo że nie mieszkałam daleko, nie dotarły żadne rozkazy, żaden przydział i znalazłam się w organizacyjnej próżni.

Tymczasem jednak w roku 1944, jak i w latach poprzednich, w prasie podziemnej pracowało się codziennie regularnie. Przyzwyczailiśmy się, iż normalne stawało się to, co było najbardziej nienormalne. Przychodziła „Hania“ z nasłuchem do mnie, odbierała napisane bibułki „Służba Reutersa“, i tak co parę dni. Czasami widywałam się z sąsiadem „Wiktorem“¹⁴, były to rozmowy równie ciekawe, jak chaotyczne. Nieraz zaglądała pani „Giga“ z jakąś wieścią, to znów któraś z dziewczynek z „poczty“, „Filipina“ lub „Kasia“, przynosiła polecenia.

POCZTA

O „poczcie“ — kilka wspomnień. Czasami sama chodziłam do jej lokalów — pamiętam ul. Piękną i Polną 52 — częściej jednak przychodziły z „poczty“ do mnie łączniczki. Poznałam kierowniczkę „poczty“ panią „Maskę“ — Marię Szpręglewską, starszą już osobę, jak mi powiedziano, była dyrektorkę gimnazjum. Imponowała mi zawsze mocnymi nerwami. Placówka, którą prowadziła, nie była bezpieczna: „Maska“ całymi dniami przesiadywała w lokalach, a jej obecność i krążenie łączniczek były słabo pozorowane lekcjami języków... parę podręczników i zapisanych zeszytów z ćwiczeniami! Na Polnej 52 — na 5 piętrze — skąd ładny był daleki widok na Pole Mokotowskie, po schodach snuły się nieustannie łączniczki. Wydawało mi się, że to istna pułapka, mimo że było drugie wyjście na tylne schody... Jednakże „poczta“ rezydowała tam szczęśliwie przez czas dłuższy. Po okupacji pani „Maska“ wróciła do nauczycielstwa. Słyszałam, że w latach 50 zmarła w Gdyni jako dyrektorka liceum.

Jedną z jej najgorliwszych pomocnic była „Filipina“ — Hanna Bielikówna — którą dość często widywałam. Była to cicha, spokojna, szczuplutka osoba. Odznaczała się delikatną dyskrecją, a równocześnie była niezwykle wytrwała i mocnego charakteru. Widywałam ją też od czasu do czasu po okupacji w Warszawie. Coraz gorzej było z jej zdrowiem — pożerała ją gruźlica. Mimo pomocy przyjaciół i troskliwych zabiegów nie było poprawy. Robiła na mnie wrażenie świadomie, bez oporu

¹⁴ Wiadomość od innych osób: Podczas Powstania Warszawskiego „Wiktor“ — Jerzy Merson, był w Oddziale VI. K.G. Początkowo pracował w gmachu KKO, potem na ul. Szopena. Po Powstaniu wywieziony był do Offlagu II-D-Grossborn i zginął dn. 5 lutego 1945 r., właśnie w dniu uwolnienia obozu przez oddziały I Armii Polskiej... W toku walk i ostrzeliwania obozu przez Niemców padł zabity przez pocisk artyleryjski.

przyjmującej swój smutny los. Byłam na jej pogrzebie w roku 1948. Oczywiście „poczta“ dysponowała znaczniejszą liczbą łączniczek, których już nie mogę pamiętać.

Muszę ograniczać się do spraw bezpośrednio dotyczących tego, co pamiętam o prasie podziemnej — lecz jakże trudno pominąć zdarzenia lat 1943 i 1944, które tak mocno kształtowały nasze myślenie i utrwały wole oporu przeciw okupantowi! Tłem tych lat w kraju był coraz bardziej nieludzki terror, zagłada getta żydowskiego ze wszystkimi okropnościami, mordowaniem dzieci błąkających się po polach i po zaułkach miast, systematyczne wyniszczanie więźniów w obozach, ludności w miastach i wsiach. I przeciwstawiające się tej dzikości okupanta działania polskie, akcje ratunkowe społeczeństwa i zawzięte walki partyzanckie. Nie można zapomnieć o setkach egzekucji ulicznych w Warszawie¹⁵, o masowych rozstrzeliwaniach, gdziekolwiek był po temu pretekst. W prasie podziemnej wszystkie te sprawy znajdowały swe odbicie i wyraz¹⁶.

¹⁵ Rok 1943 był szczególnie napiętnowany okrucieństwami wzmagającego się terroru. Zagłada getta wywoływała po polskiej stronie muru nieustanny wstrząs przez szereg tygodni, jakieś opętanie myślowe. Tylko raz lub dwa, w drodze na Żoliborz, widziałam własnymi oczyma odbłaski pożarów i słyszałam krzyki dochodzące z daleka zza strzeżonego przez okupantów, przeważnie żołnierzy ukraińskich i łotewskich, kordonu. Aż na Aleję naszą, gdy wiatr wiał od północy, dolatywały kłęby dymu i szczątki spalenizny. Uporawszy się z gettem, wyniszczyszcy Żydów w Warszawie — równolegle prowadzona „akcja“ w całym kraju trwała nadal — hitlerowcy z kolei zaostrzyli terror w stosunku do rdzennie polskiej ludności. Taki czy inny pretekst wystarczył, by rozstrzeliwać „zakładników“, wybierając ofiary spośród więźniów Pawiaka lub przypadkowo pochwyconych przechodniów. W połowie października nastąpiła pierwsza z serii tak zwanych „egzekucji ulicznych“ w Warszawie. Była to nowa próba zastraszenia społeczeństwa — nowa forma terroru, które zresztą również zawiodła oczekiwania okupantów.

Pierwsza tego rodzaju egzekucja odbyła się 16 października 1943 r. w pobliżu mego mieszkania i „Czytelni u Przyjaciół“, w biały dzień około godziny 3 po południu. Ponieważ Niemcom początkowo zależało na wzbudzeniu postrachu, nie tylko pozwolili, lecz zachęcali okoliczną ludność i przechodniów do przyglądania się egzekucji, oczywiście w wyznaczonej odległości. Toteż spora garść osób widziała ową egzekucję, która odbyła się na rogu ul. Madalińskiego i Alei Niepodległości pod ceglany murem w głębi niedużego pola, kartofliska czy ogrodu warzywnego. Rozstrzelano 20 mężczyzn i młodych chłopców. Egzekucja wywołała wzburzenie nie tylko w dzielnicy mokołowskiej, lecz w całej Warszawie. Nowe manifestacje — miejsce stracenia było pokryte kwiatami i nadaremnie straż niemieckie rozrzuciły i deptały kwiaty, nowe stopy wiązanek ukazywały się nazajutrz. Zamiast strachu umacniała się opozycja, pogarda dla katów, egzaltowany patriotyzm w stosunku do ofiar terroru.

W roku 1945 w parę dni po powrocie do Warszawy napisałam wspomnienie o tej pierwszej egzekucji ulicznej pt. *Warszawa nie zapomina...* drukowane

Poza terytorium Polski toczyły się olbrzymie boje. Zmagania w Związku Radzieckim z najazdem hitlerowskim, załamanie się armii niemieckiej i ofensywa radziecka posuwająca się ku nam. Nocne naloty zwiastowały jej zbliżanie się... Depesze, wiadomości radiowe z dnia

w „Kurierze Codziennym“, 1945, nr 3 z dn. 11 lipca (pierwsze numery „Kuriера Codziennego“ są raczej rzadkością, dlatego warto może to zanotować — dziennik SD zaczął ukazywać się od 8 lipca 1945 r. pod redakcją Józefa Wasowskiego). Rzeczywiście, ludność Mokotowa nie zapomniała. W rocznicę egzekucji, 16 października 1945 r., odsłonięto skromny pomnik z napisem; zdjęcia można znaleźć w prasie warszawskiej owego czasu.

Obecnie na miejscu tej pamiątki wznoszą się nowe domy. Pomnik został przesunięty na dziedziniec jednego z nich i znajduje się poza gmachem kasyna oficerskiego. Położono tam płytę z czerwonego granitu z napisem w ceglonym obramowaniu, zapewne na pamiątkę muru, przed którym odbyło się rozstrzelanie. Zasadzono przy płycie dwie wierzby płaczące, które pięknie rosną. Na płycie zastałam jesienne kwiaty, wiązanki skromne, świadczące, że okoliczni mieszkańcy, a zapewne i dzieci, i harcerze pamiętają... Napis na płycie: „20-tu męczennikom rozstrzelanym przez zbrodniarzy hitlerowskich 16 X 1943 r. ludność Mokotowa. Warszawa 16 X 1945 r.“ — Nie wydaje się właściwe użyte tutaj wyrażenie „męczennikom“ — widocznie jednak odpowiadało mieszkańcom Mokotowa. Ale ważne jest, że o miejscu straceń — i tym mokotowskim, i o innych dwustu z tego okresu — pamiętają ludzie starszego i młodszego pokolenia, że oznaczone są one znakami trwałymi.

¹⁶ Po każdym niemal aresztowaniu na ulicach czy w domach rozchodziły się pogłoski, jakoby gestapo znalazło tam „gazetki“... Nie zawsze tak było, lecz pogłoski takie świadczyły, iż „gazetkom“ podziemnym przypisywano szczególną moc wywoływania represji okupanta. Faktycznie okupant potrzebował przede wszystkim siły roboczej dla „Reichu“, a dopiero w drugiej kolejności — utrzymywania terroru. Prasa podziemna była szczególnie tępiona, popierała bowiem i ruchy wojskowe podziemia, i podsyciała ekonomiczny bojkot w całym społeczeństwie. Nie bez uzasadnienia władze okupacyjne przypisywały prasie podziemnej podburzanie mas i wzniesanie stałego buntu na obszarze wszystkich podzielonych przez administrację niemiecką ziem polskich. Gazetka podziemna była w rękę Polaka równie niebezpieczna, jak rewolwer. Za gazetkę też represje były srogie, jak za strzałę w oczy wroga — od natychmiastowej egzekucji włącznie.

Stosunek społeczeństwa do prasy podziemnej był w przeważającej mierze najbardziej pozytywny. Popierano różnymi sposobami naszą pracę — udzielano mieszkań na redakcje, na kolportaż. Wiadomości były upragnione jak nigdy — „gazetki“ krążyły z rąk do rąk, zaczytywane do końca. Byli jednak obywatele ostrożni, którzy za żadne skarby nie chcieli mieszać się do tak zgubnych w ich oczach poczynań. Plotkarstwo i obawy, aż do tchórzostwa posunięte, wywoływały oskarżenia ze strony ludzi, którzy uważali się za „dobrych Polaków“ i ciskali gromy na tych, co ośmielali się mącić ich spokój. Prasę podziemną oskarżano o zgubną podtrzymywanie politycznych fermentów „kosztem krwawych ofiar i narażania spokojnych obywateli na represje“... nie bacząc, że ci „spokojni obywatele“ mogli codziennie paść ofiarą wroga bez żadnych bojowych przyczyn.

Ale może dziś nie warto rozprawiać się z takimi argumentami i z tą kategorią ludzi, którzy mogli niekiedy ocalić swe egoistyczne życie, za cenę wyłączenia się

na dzień przynosiły obraz narastającej fali wypadków, które — nie wiedzieliśmy jeszcze, jak — miały do gruntu zmienić sytuację i których oczekiwaliśmy z upragnieniem, jako wyzwolenia z otchłani ucisku i grozy. Klęska wroga stawała się jasna, oczywista.

POWSTANIE

Wybuch Powstania w Warszawie w dniu 1 sierpnia 1944 r. rzucił nas w rozterki nikłych nadziei i tragicznych przewidywań. Byłam odcięta od kółek maszyny organizacyjnej. Po wypędzeniu z domu na Alei Niepodległości i spaleniu go w dniu 11 sierpnia nie wyszłam z Warszawy, lecz przeszłam na tzw. dalszy Mokotów, opanowany przez powstańców. Zrobiłam to pod wpływem upartego rozumowania, że trzeba tu trwać do końca, nie uchylać się od niebezpieczeństw czy śmierci, wziąć udział w toczącej się walce; choćby moje siły były małe — mogą się na coś przydać.

Miałam też nadzieję, że nawiążę kontakt z moją komórką, z moim kierownictwem prasowym¹⁷. Istotnie, znalazłszy się na terenie powstańczego Mokotowa („mieszkałam“ przy ul. Weinerta u przyjaznej mi Almy Stodolskiej-Martensowej, przez szereg lat sekretarki, potem redaktorki działu wiadomości warszawskich w Polskim Radio. Mąż jej walczył gdzieś poza Warszawą — nie było o nim wieści — u niej oprócz matki i siostry gościło kilka osób, którym użyczała schronienia), wy-

ze społeczeństwa gnębionego i prześladowanego przez faszystowskich najeźdźców. W nieustępliwy sposób gazety atakowały zbrodniczą okupację, wykruszały jej wpływy, podniecały energię i myśl o niechybnym wyzwoleniu. Sam fakt szerzenia wiadomości ze świata, konkretnych nowin politycznych i wojskowych, gospodarczych i kulturalnych, wiązał nasze masy ludowe z szeroką areną światową. Im dłużej trwała okupacja, tym srożej były ścigane gazety konspiracyjne, lecz tym powszechniejsza stawała się ich rola.

¹⁷ „Dziennik Radiowy“ ukazywał się również w czasie Powstania. Według zebranych od innych osób wiadomości redakcja pracowała w składzie: „Wiktor“ — Jerzy Merson, Roman, z nasłuchu „Boryna“, także „Ludwik“, „Ada“, „Renata“, „Hanka“, „Kasia“ — w gmachu KKO powiatu warszawskiego przy ul. Zgoda. Po zbombardowaniu tego gmachu zespół przenosił się wielokrotnie, wreszcie pracował w lokalu przy ul. Szopena. Warunki były, oczywiście, bardzo trudne. Ludzie byli parokrotnie zasypani pod gruzami podczas bombardowań, nękani chorobami. Wszyscy po kapitulacji poszli do niewoli. Stacja nasłuchu radiowego, zorganizowana na Żoliborzu, nie mogła być wykorzystywana wówczas z powodu odcięcia tej dzielnicy. Odbywała się tylko trudna bardzo komunikacja kanałami. Na Żoliborzu pozostali „Maryn“, „Stefan“, „Krystyna“ i tłumacz. O stacji zapasowej nasłuchu na Żoliborzu opowiadano mi, że była doskonale zabezpieczona w podziemiu, przypominającym kabinę łodzi podwodnej, dlatego nazywano ją po prostu „łodzią podwodną“.

słałam dwukrotnie meldunki pocztą przez kanały — prawdopodobnie nie doszły lub nie było ani potrzeby, ani możliwości dania mi jakichkolwiek zleceń¹⁸. Dowiedziałam się, że działa tu kwatera prasowa dzielnicy mokotowskiej. Dotarłam tam i zgłosiłam się do szefa, nie znanego mi majora. Uprzejmie, ale bez zachęty, raczej niechętnie, po rozmowie ze mną oświadczył, iż ma dość ludzi i wezwie mnie w razie potrzeby. Po pewnym czasie zgłosiłam się powtórnie, również bez rezultatu. Było jasne, że działają tam ludzie innego obozu — zdaje się „narodowcy“ — i wolą nie korzystać z mej współpracy.

Zajęłam się więc, wraz ze spotkaną przypadkowo bibliotekarką (nazwiska nie pamiętam), zorganizowaniem biblioteczki dla rannych i chorych w szpitalu Elżbietanek i w sąsiednich domach, zwłaszcza w tzw. szpitalu polowym przy ul. Malczewskiego. Zebrane z sąsiednich domów książki — których było nawet sporo — wypożyczaliśmy pacjentom, odwiedzając sale codziennie¹⁹. Wkrótce szpitale zostały zbombardowane przez lotnictwo i artylerię niemiecką. W dniu 15 września w nalocie na wille przy ul. Weinerta zginęło około 20 osób²⁰.

¹⁸ Działalność Tadeusza Wardejń-Zagórskiego, podczas Powstania Warszawskiego „majora Gromskiego“, jest już w pewnym zakresie oświetlona w wydanych dokumentach. O jego osobistym losie zebrałam tylko nikłe wiadomości. Po Powstaniu przebywał wraz z żoną w Częstochowie i tam został aresztowany. Wywieziony przez Niemców do obozu w Gross-Rosen, zginął w nieznanym okolicznościach. W kwietniu 1945 r. dokonał ucieczki z obozu z zamiarem powrotu do kraju. W drodze tej ślad jego zaginął. Podobno został zastrzelony przez jakiegoś SS-manna.

¹⁹ We wrześniu 1944 r., chroniąc się podczas jakiegoś nalotu w południe, weszłam do domu przy ul. Tynieckiej (w pobliżu szpitala Elżbietanek). Zastałam tam niespodziewanie dwu kolegów: Mieczysława Krzepakowskiego i Stefana Magenheima, którzy wówczas redagowali z ramienia AL pismo „Kurier Mokotowski“. Było to miłe i, mimo grozy sytuacji, radosne spotkanie.

²⁰ W bombardowaniu, dokonanym przez lotników niemieckich w dniu 15 września na wille przy ul. Weinerta na Mokotowie, zginęło na miejscu około 20 osób. Dom, w którym wówczas „mieszkałam“, został doszczętnie zdruzgotany — dach leżał na płask na ziemi. Saperzy powstańczy po godzinie czy dwóch wydobyli kilka osób, między innymi i mnie, z zawałonej piwnicy — wszystkich całych i bez ran. Zginęła moja przyjaciółka Alma Stodolska-Martensowa, jej matka Felicja Stodolska, jej siostra Janina Ejsmondowa, wówczas już wdowa po malarzu Stanisławie Ejsmondzie (który zginął od bomby w Lublinie, wioząc płótna Matejkowskie z muzeum Zachęty warszawskiej). Zginął również major Robowski — rodzina jego ocalała w tym samym pomieszczeniu. Zginęły Jadwiga Lothowa i jej jedyna córka Giżycka. Prof. dr Edward Loth, wówczas szef sanitarny powstańczego Mokotowa, ocalał; wyszedł z domu na krótko przed bombardowaniem, podobnie jak jego zięć, kapitan Giżycki. Inne osoby, które na miejscu zginęły, zmiażdżone, nie były mi znane z nazwiska.

Kilka słów o losie męża Almy, Witolda Martensa. W pierwszym dniu Powstania wraz ze swym oddziałem zmuszony był do wycofania się poza Warszawę

Wśród ocalałych dziwnym trafem wyszłam cało z zawałonej piwnicy i nazajutrz zostałam przyjęta do obsługi szpitalnej w pawilonie przy ul. Misyjnej.

Tu dotrwałam do kapitulacji Mokotowa i uciekłszy z konwoju, ranna, dotarłam do Milanówka. Nazajutrz ciężko zachorowałam i leżałam w okropnych warunkach w szpitalu. Odnalazł mnie 20-letni siostrzeniec i przewiózł w bardzo już złym stanie do Krakowa. Po operacji i leczeniu w szpitalu Bonifratrów siostra zabrała mnie do siebie pod Rabkę. Rekonwalescencja trwała bardzo długo.

ZNOWU WARSZAWA 1945

Jeszcze słaba i wyczerpana powróciłam do Warszawy w początku lipca 1945 roku, aby rozpocząć pracę w redakcji „Kuriera Codziennego” (Śniadeckich 16), założonego przez Stronnictwo Demokratyczne pod redakcją naczelną Józefa Wasowskiego.

Zamknął się krąg — minęły nędza i przerażenia wojny i okupacji. Lecz pozostały ślady i nie zaleczone rany. Powrót do Warszawy, leżącej w gruzach i dźwigającej się wysiłkiem wynędzniałego ludu, był wstrząsem nieprędko ustępującym. Byliśmy chorzy na wspomnienia (mówiło się o „chorobie ruin“...), a jednak podejmowaliśmy nowe, wielkie trudy. Powoli odnajdowało się przyjaciół. Wszyscy okrutnie zbiedzeni, zmienieni. Do redakcji przybywali współpracownicy, poczynaliśmy czuć się w gromadzie koleżeńskej. Dziennikarze i drukarze zaczęli pracę w nieprawdopodobnie prymitywnych warunkach — w tak bardzo przeredzonych szeregach... Trzeba było śpieszyć się, nadrabiać stracony czas z myślą o jutrze, z twarzą zwróconą ku przyszłości.

Wspomnienia leżały na dnie pamięci. Nieraz zdawało się, że wołają o życie głosami poległych. O nich dziś niechaj mówią.

Warszawa, listopad—grudzień 1960

i po szeregu walk dostał się w ręce wroga. Siedział w obozie karnym w Stutthofie. O jego pobycie w obozie i o śmierci opowiedział mi znacznie później jeden ze współwięźniów. Jego zdaniem, Martens umarł z głodu i wycieńczenia — silny, duży mężczyzna nie przetrzymał maltretowania i obozowej nędzy. Do charakterystyki W. Martensa pragnę dodać, że zawsze wzruszał mnie jego głęboki patriotyzm: nie było „kropli krwi polskiej“ w tym Duńczyku z pochodzenia, którego rozgałęziona rodzina prowadziła pod Warszawą wielkie przedsiębiorstwa, biura i instytucje w Warszawie. Wśród licznych kuzynów, przemysłowców, Witold, ze swoim arcy-polskim imieniem, odróżniał się jakimś odcieniem romantyzmu, zresztą bardzo powściągliwym i dyskretnym. Podczas okupacji Witold Martens jako oficer prowadził wojskową robotę w AK.